

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
 Półrocznie . . . „ 3 „ 50
 Kwartalnie . . . „ 1 „ 75
 Miesięcznie . . . „ — „ 60

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Cena pojedynczego numeru bez dodatku kop. 20.

Prenumerata na Prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . „ 4 „ 50
 Kwartalnie . . . „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie . . . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje księgarnia T. Paprockiego i S-ki pokop. 10 za wiersz petitowy lub za jego miejsce. Reklammy po kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Nowy - Świat Nr. 21 m. 20.

Ekspedycja główna: Nowy - Świat Nr. 41, w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Za dużo czy za mało, przez J. L. P.
 Popularne hasło, przez Antoniego Potockiego.
 Ewolucja pojęć prawnych, przez Jana Lorentowicza.
 Geneza i znaczenie filozofii Szpencera, przez John'a Finke'a.
 „Bez dogmatu“. Luźne notatki, przez R. Skrzyckiego.
 Głosy: Oszczędny. — Projekt wynagrodzenia robotników. — Z Brazylii. — Wojak austriacki. — Zadziwiająca plodność.
 Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.
 Przegląd społeczny: Łódź, Włocławek, Z powiatu Janowskiego, Wilno, Petersburg, Kraków.
 Przegląd polityczny.
 Kronika powszechna.
 Kronika literacka.
 Odpowiedzi od redakcyi i administracyi.
 Odcinek: Miła rodzina, Nowela przez G. de Moupasant'a.
 W dodatku: Wróg ludu, dramat w 5-u aktach przez Henryka Ibsena, przekład H. B. Arkusz 11-ty.

Od Administracyi.

Szanownym naszym prenumeratom kwartalnie płaćącym, przypominamy nadchodzący termin przedpłaty na kwartał IV r. b., prosząc o możliwie prędkie nadsyłanie należności. Opóźniający się z przesyłką pieniędzy sami sobie winę przypiszą, jeżeli nie otrzymają pisma we właściwym czasie. Przedpłatę nadsyłać prosimy pod adresem *Ekspedycyi „Głosu”* w księgarni *Teodora Paprockiego i S-ki* w Warszawie, *Nowy-Świat Nr. 41.*

Za dużo czy za mało?

Od lat dziesięciu spotykamy w prasie naszej w pewnych odstępach czasu rozprawy o nadprodukcji inteligencji. W sprawie tej rozmaite zdania słyszeć można, coraz bardziej jednak upowszechnia się mniemanie, że mamy za dużo ludzi z wyższem wykształceniem fachowem, znacznie więcej, aniżeli społeczeństwo w danych warunkach potrzebować ich może. Doświadczenie życiowe stwierdza poniekąd słuszność tego zdania, wykazuje bowiem, że liczny zastęp fachowców szuka i znaleźć nie może w bliższem otoczeniu właściwego zajęcia.

Obecnie *Gazeta Warszawska* wraca znów do tej kwestyi z powodu niedawno ogłoszonej rozprawy ekonomisty niemieckiego, Conrada i wy-

głasza wnioski swe bardzo stanowczo, ale uzasadnia je bardzo słabo. Autor zupełnie dowolnie operuje wyrazami i pojęciami, mieszając je w rozmaity sposób. „Nie słyszeliśmy“, powiada, „by ktokolwiek mówił poważnie o zbytku rozumu, lub nadmiarze oświaty“ I dalej: „Do oznaczenia obcego nam pojęcia, że tylko wybranym wolno mieć rozum, używają u nas obcego, dziwnie sprzągniętego wyrażenia — nadprodukcya inteligencji. W łańcisko-francuzkiej szacie ukrywa się niedorzeczność, uderzająca w oczy, skoro toż samo powiemy po polsku — zbytek rozumu.“ Trudno przypuścić, żeby autor nie wiedział, iż wyrazu inteligencyja używamy nie tylko w znaczeniu rozumu, ale i dla określenia grupy czy też warstwy ludzi, wyżej wykształconych. W rozprawach więc o nadprodukcji inteligencji nie o „zbytek rozumu“ chodzi, lecz o to, że w społeczeństwie istnieje względny nadmiar ludzi z wyższem wykształceniem a dokładniej — inteligentnych fachowców, którzy znaleźć nie mogą ani odpowiedniego zajęcia, ani odpowiedniego zarobku. „Nieprzerwany postęp“ i „upowszechnianie się wiedzy“ z tą nadprodukcją inteligencji fachowej nie albo bardzo nie wiele mają wspólnego. Można być człowiekiem światłym a nawet bardzo wykształconym, nie kończąc szkół i, na odwrót, zupełnym hebesem z dyplomem inżyniera, kandydata praw lub lekarza.

Inteligencyja nasza kształci się wyłącznie prawie zawodowo, a więc nie tyle dla nauki, ile dla zarobku. Dostyc tu zaznaczyć, że wydziały medyczny i prawny są przepelnione, kiedy na przyrodniczym i matematycznym jest bardzo niewiele studentów, a na filologicznym kilku zaledwie. Trzeba zaś dodać, że przyrodnicy i matematycy uważają nieraz studia uniwersyteckie tylko za wstęp do kariery zawodowej i po ukończeniu ich wstępują do szkół technicznych, inżynierskich, górniczych lub odbywają w tym celu praktykę.

Nie robimy z tego zarzutu naszej młodzieży inteligentnej, wiemy bowiem, że bardzo znaczna jej większość nie posiada żadnych środków materialnych, nawet więc marząc o działalności naukowej, musi myśleć jednocześnie o zabezpieczeniu sobie kawałka chleba. Ale jeżeli dążenie do zapewnienia sobie bytu materialnego jest w danym wypadku prawowitem, to tymbardziej nabiera wagi pytanie: czy wykształcenie zawodowe daje u nas odpowiedni zarobek?

Otóż o wszystkich prawie zawodach, z wyjątkiem chyba lekarzy, którzy względnie dostyc łatwo znaleźć mogą jakie takie utrzymanie, odpowiedź wypadnie przecząco. Młodzi prawnicy

i technolodzy, górnicy i inni fachowcy powszechnie klepią biedę, utrzymują się z dawania lekcyj lub z zajęć, które nic wspólnego z wykształceniem, jakie otrzymali, nie mają.

Nie można powiedzieć, że u nas, tak samo jak w Niemczech, praca umysłowa gorzej jest wynagradzana, aniżeli fizyczna. Często jednak karbowy, albo owczarz, a nawet parobek lepsze otrzymuje wynagrodzenie, — licząc ordynaryję i inne dodatki — aniżeli nauczyciel ludowy, wśród tych ostatnich bowiem są tacy, co oprócz mieszkania biorą zaledwie 60, 80—100 rubli pensyi i nic nad to. Majster w fabryce wyżej jest wynagradzany, aniżeli nie jeden technolog lub inżynier, który bodaj ciężej pracuje. Inteligentny fachowiec ma natomiast, powiadają, nadzieję otrzymania z czasem wyższego stanowiska, lub lepszej pensyi, ale jakże często nadzieja ta zawodzi. A nauczyciel prywatny, lub nauczyciel ludowy nawet tej złudnej nadziei nie mają.

Liczba posad w służbie rządowej zawsze jest ograniczoną, mówiąc więc o nadmiarze inteligencji, mamy na widoku tylko tak zwane zawody wolne (profesyje liberalne), które u nas dostarczają zarobku przeważnej większości ludzi wykształconych. Otóż błędnem jest dosyc upowszechnione mniemanie, że popyt na pracę inteligentną w tych zawodach wzrastać będzie. Przeciwnie, wskutek podniesienia poziomu umysłowego ogółu, a raczej klas zamożniejszych, popyt stosunkowo słabnąć musi. Rodzice nieraz już wychowują i kształcą dzieci bez pomocy nauczycieli, w wielu drobnych sprawach człowiek inteligentny obejdzie się bez porady adwokata, a nawet bez porady lekarza.

Prawda, że natomiast postępy oświaty w warstwach ludowych wzmagają popyt na pracę inteligentną, ale praca ta musi być przystosowaną do potrzeb tych warstw, a wynagrodzenie za nią — do środków, jakie posiadają. Przystosowanie to wymagałoby najprzód zasadniczej zmiany całego systemu dzisiejszego wykształcenia zawodowego i zmiana ta nieśmiało, powoli zaczyna się wszędzie dokonywać. Powtóre sama inteligencyja zawodowa, chcąc zastosować się do potrzeb szerszych warstw, musi gruntownie zmienić swoje żądania. Produkcya jej powinna przedewszystkiem kosztować taniej, wtedy bowiem tylko może być praca inteligentna odpowiednio wynagrodzoną. Ale my wszyscy i zawsze mówimy tylko o tej inteligencji, jaka w danej chwili istnieje, o jej potrzebach i warunkach jej bytu. Takiej zaś, nie przystosowanej do nowych zadań, inteligencji zawodowej mamy względnie za dużo, a w dodatku jest ona

zupełnie niewłaściwie w stosunku do potrzeb społecznych unormowaną.

Z wyliczeń p. Conrada widać, że na 100,000 mieszkańców jest studentów uniwersytetu (nie licząc słuchaczy teologii): w Belgii 82,3, w Norwegii 76,6, w Szwecyi 57,3, w Austro-Węgrzech 55,9, w Szwajcaryi 10,4 mężczyzn i 5,2 kobiet, we Włoszech 51,3, w Niemczech 48,4, w Danii 47,1, w Hollandyi 45,4, we Francyi 42,6.

Na podstawie tych cyfr *Gazeta Warszawska* dochodzi do wniosku, że Belgija, Norwegija i Szwecyja, kraje „przeciążone” wykształceniem uniwersyteckim, cieszą się dobrym bytem, a moralność publiczność stoi w nich wyżej, aniżeli w „państwie bojaźni bożej,” i nikt tam nie domaga się ograniczenia oświaty. Ze zgromadzonych przez Conrada danych widać także, że liczba uczących się w uniwersytetach wzrasta najszybciej z biegiem lat nie w Niemczech i nie we Francyi, lecz właśnie w tych spokojnych i kwitnących krajach: Norwegii, Hollandyi, Szwajcaryi.

Dokładniejsze zbadanie tych cyfr zupełnie co innego wykazuje. W Szwajcaryi około 1/4, jeżeli nie więcej studentów stanowią cudzoziemcy, Hollandyja posiada stosunkowo wielkie kolonije, liczące sześć razy więcej ludności, aniżeli metropolija, dla tych więc kolonij potrzebuje znacznej ilości fachowców: lekarzy, urzędników, inżynierów. Belgija produkuje inteligencyję na potrzeby innych krajów, a pomiędzy studentami belgijskimi znaleźć można również sporo cudzoziemców. W tych wszystkich krajach zresztą, a zwłaszcza w Danii i Norwegii, upowszechnienie wyższego wykształcenia jest następstwem dobrobytu, a nie odwrotnie, jak sądzi *Gazeta Warszawska*. W Norwegii i Danii synowie zamożnych włościan kończą zazwyczaj uniwersytet i osiadają potem na roli, nie szukając zarobku z pracy inteligentnej. Zresztą wszędzie na Zachodzie młodzieńcy z klas zamożnych otrzymują wyższe wykształcenie, ale bynajmniej nie wykształcenie zawodowe. Daleko większy aniżeli u nas procent studentów uczęszcza tam na wydziały, odpowiadające naszym filologicznemu i matematycznemu, albo na tak zwany fakultet nauk społecznych. U nas zaś synowie zamo-

żnych rodziców nietylko uniwersytetu, ale zazwyczaj szkół nie kończą, nie mówiąc już o tem, że ludzi zamożnych mamy stosunkowo 2, 3, a nawet 10 razy mniej.

Nakoniec inteligentni francuzi, włosi, belgijczycy, anglicy, poniekąd niemcy i poddani austrijscy setkami, tysiącami, a nawet dziesiątkami tysięcy zajmują posady w kolonijach lub emigrują do Ameryki południowej i północnej, do Australii i t. d. Tymczasem nasza inteligencyja nie emigruje i zarobku za morzem nie szuka. Levasseur obliczył w przybliżeniu, że około 8,000 francuzów inteligentnych zajmuje w Ameryce tylko posady lekarzy, inżynierów, adwokatów, agentów handlowych, nauczycieli i t. p., tymczasem procent ludzi z wyższem wykształceniem nie wiele jest większy we Francyi, aniżeli u nas, nie mówiąc już o Galicyi, gdzie studentów wyższych zakładów naukowych, licząc tych, co pobierają nauki poza granicami kraju, nawet więcej wypada aniżeli 42 na 100,000 ludności. A wyżej wykształconych Polaków w Ameryce znajdzie się chyba nie więcej nad 80, francuzi zaś mają jeszcze własne kolonije i rozchodzą się po całym świecie.

Znaczny procent ludzi z wykształceniem uniwersyteckim w Austrii, a specjalnie w Galicyi dowodzi wymownie, że produkcja inteligentnych zawodowców nie idzie równolegle z podniesieniem poziomu oświaty, z rozwojem nauk i uspołecznienia. Sądząc z liczby corocznie kończących uniwersytety i specjalne zakłady, winno być teraz w Galicyi co najmniej 10,000 ludzi z wyższem wykształceniem naukowym, a jednak żadne pismo poważne utrzymać się tam nie może, żadna poważna książka nie znajdzie sam nabywców.

U nas trochę jest lepiej pod tym względem, ale i nas główny zastęp czytelników pism i książek rekrutuje się bynajmniej nie z pośród inteligencji zawodowej. Najgorliwiej bodaj i najpoważniej czytają u nas tak zwani samoucy, którzy wcale studyjów uniwersyteckich nie odbywali. Rzecz ciekawa, że w literaturze, a raczej w dziennikarstwie nie ma u nas właśnie dostatecznej liczby ludzi z wyższem wykształceniem, co dowodzi, że inteligencyja zawodowa

nie posiada wyższych aspiracyj umysłowych, gdyż w przeciwnym razie, zwłaszcza wobec braku zarobku na innych polach, szybko pośpieszyłaby z podażą swej pracy.

Każdy, kto był w uniwersytecie, lub wyższym zakładzie naukowym, wie o tem, że znaczną część, prawie połowę studentów stanowią ludzie, którzy o żadnych ideach i ideałach nie słyszeli i słyszeć nie chcą, którzy oprócz kursów, może „Kuryjera”, nic, nawet w zakresie swej specjalności nie czytają, czas zaś spędzają na dawaniu korepetycyj, graniu z kolegami w karty lub bilard, romansowaniu ze szwaczkami i kelnerkami lub obtańcowywaniu pańienek na wieczorkach i herbatkach familijnych. Są to nieraz dobre chłopaki, nawet ludzie nie głupi, w powszednim znaczeniu tego wyrazu, ale pozbawieni zupełnie aspiracji duchowych. Jakąż korzyść ma społeczeństwo z tego, że ludzie ci otrzymują wyższe wykształcenie? Żadnej — natomiast raczej ponosi stratę, bo współzawodnictwo ich obniża zarobki ludzi, istotnie pracujących umysłowo. O ile zresztą społeczeństwo potrzebuje pewnej ilości pracowników fachowych i tacy mogą być pożytecznymi. Ale we wszystkich tych zawodach, gdzie podaż już odpowiada popytowi, są oni zupełnie zbyteczni.

Nigdy w społeczeństwie nie może być nadmiaru ludzi wykształconych — prawda, „nikt nie czuje ciężaru, zbytku wiedzy i nauki” — i na to zgoda. Ale w danym wypadku nie o tem wcale mowa. Inteligencyja nasza, nawet zamożna, otrzymuje wykształcenie prawie wyłącznie fachowe, a takich specjalistów, przynajmniej w pewnych zawodach, dziś już mamy nad potrzebę społeczeństwa. Łatwo to powiedzieć, że człowiek wykształcony jąc się może każdej pracy, zazwyczaj jednak jest on do żadnej — oprócz swej specjalności — nie zdolnym. Właśnie tylko śmielsi i bardziej pomysłowi przerzucają się do innej sfery zając, ale ci i w swoim zawodzie byliby pożyteczni. Nadmiar współzawodników obniża więc nawet poziom fachu, bo pozostają w nim słabsi i mniej inteligentni.

Za mało mamy ludzi istotnie wykształconych, ale za dużo, stosunkowo do potrzeb społeczeństwa i do warunków, w jakich się ono znajdu-

MIŁA RODZINA.

NOVELA

przez

G. de Maupassant'a.

Jechałem do swego przyjaciela, Szymona Raderin, niegdyś kolegi, którego straciłem z oczu od lat 15.

Przed laty był to mój najlepszy przyjaciel, druha serdeczny. Z nim to spędzałem długie zimowe wieczory, z nim odbywałem dłuższe jeszcze letnie przechadzki, które nam wydawały się krótkie, bośmy nigdy się nagadać nie mogli. Razem odbywaliśmy podróże i krótkie wycieczki, razem książki te same czytali, sprzecząc się o nie zawzięcie — razem marzyliśmy o szczęściu, miłości i razem świat chcieliśmy przerabiać na nowo.

I nagle on się ożenił. Przyjechała z głębokiej parafii dziewczynka chuda, płowa, świeża, o dużych, płaskich rękach, jasnych oczach i głosie krzykliwym — przyjechała wyszukać sobie męża, jak co rok robią tysiące jej podobnych lalek — i Bóg jeden a ona druga mogli powiedzieć, ja-

kim cudem złowiła tego rozumnego chłopaka, co miał w duszy pojęcie ideału. Kto kiedy potrafi powiedzieć, dlaczego ten lub ów tak a nie inaczej wybrał? Może Szymon poślakomiał się na szczęście ciche, spokojne, bez targań żadnych, które obiecywały mu przezroczyście, jak szyba, za którą nic niema, — czy tej płowowłosej dziewczynki. Nie pomyślał, że człowiek z umysłem giętkim, czynnym, nie może bezkarnie zagłębić się w beczynności, bo zaśnie i w śnie tym gnuśnym spleśnieje bezpowrotnie...

I jakim on jest w tej chwili? Jak dawniej, żywy, wesoły, zapalenić, czy też parafijanin zaspany? Piętnaście lat! to może trochę zmienić człowieka!

Pociąg zatrzymał się na pustym, cichym przystanku. Właśnie wysiadałem z wagonu, gdy rzucił się do mnie gruby, bardzo gruby mężczyzna, czerwony, spotniały, z okazałym brzuchem. „Jerzy! mój Jerzy!” wołał. Uścisnąłem go — dobrze zrobił, że pierwszy przystąpił, jabym go nigdy nie poznał. „No, no, nie schudłeś” — wyszeptalem. On się zaśmiał grubym śmiechem. „Cóż chcesz! dobre życie, dobry stół! wygodli! jem i śpię do syta!”

Przyglądałem mu się, szukając ukochanych rysów. Czy jedne pozostały te same, ale nie mogłem odnaleźć spojrzenia — i mówiłem sobie: „Jeżeli spojrzenie jest echem myśli, to umysł ten

dzisiejszy nie jest już tym, który ja znałem przed laty...”

Oko błyszczało jednakże radośnie a przyjaźnie, ale w niem nie było jasnego blasku światomego siebie rozumu...

Nagle Szymon odezwał się:

— Patrzej, — oto moich dwoje najstarszych!

Dziewczynka czternastoletnia, już prawie kobieta, i chłopczyk w mundurku gimnazyjalnym zbliżyli się nieśmiało.

— Jakto, to twoje? — wyszeptalem zdumiony. Zaśmiał się

— A cóżes ty myślał, że czyje?

— Wieleż ty ich masz?

— Pięcioro! troje w domu zostało.

Odpowiedział mi to z dumą, niemal z tryumfem. Mnie zdjęła niby litość niezmierna. Ten człowiek, co dawniej chciał świat przerabiać i łamać spruchniałe przesady, dziś tak się pysznił swoim życiem wygodnym, dumny był ze swoich dzieci tylko.

Wsiedliśmy do ładnego wolanta, którym mój przyjaciel sam powoził i przejechaliśmy całe miasteczko. Brudne było, śpiące i ciche, na ulicach nic się nie ruszało prócz kilku psów i trzech dziewcząt, co szły do sklepiku. Od czasu do czasu kupiec na progu swego składu oddawał głęboki ukłon Szymonowi, który odpowiadał nań kiwnięciem głowy, i zwracał się do

je — specjalistów w pewnych zawodach. Obniża to do minimum wynagrodzenie za pracę inteligentną w kraju i zmusza pewną część inteligencji zawodowej do szukania zarobku po za jego granicami, o co jednak coraz trudniej. O tej sprawie zresztą pomówimy oddzielnie, jak również o unormowaniu pracy zawodowej. Teraz zaś, odpowiadając na pytanie, postawione w nagłówku, zaznaczymy, że:

Za mało mamy ludzi wyżej wykształconych, ale za dużo ludzi „z wyższym wykształceniem“.

J. L. P.

POPULARNE HASŁO.

Bardzo często za miarę doniosłości pewnych naukowych lub społecznych zagadnień posłużyć może ten stopień zainteresowania się i ruchu, jakie budzą one wśród ogółu. Dążenia, nie mające w sobie siły żywotnej, upadają same przez się, często mimo energicznych wysiłków swoich rzeczowników.

Zdaje się jednak, że pewnik ten posiada wartość dwustronną. Nie tylko doniosłość zagadnień da się mierzyć siłą obudzonego przez nie ruchu.

Można powiedzieć, że, odwrotnie: żywotność społeczeństwa lub pewnej warstwy odzwierciadla się jaknajlepiej w energii i wytrwałości, z jaką postępuje ono w kierunku uznanym przez siebie za zbawienny czy pożądany. Jeżeli np., rozumiejąc całą doniosłość pewnych prac, ogół czy warstwa odciąga się z ich wykonaniem — można bez ochyby źle wróżyć o ich uzdolnieniu życiowym. Rzecz prosta, iż miarodajności faktów konkretnych nie należy nigdy przesądzać — przedewszystkiem dla tego, że są one bardzo skomplikowane. Nie zawsze więc powyższa wskazówka będzie nieomylną.

Ale nigdy chyba nie należy jej lekceważyć...

W ostatnich numerach *Głosu* p. Z. W. poruszył kwestyję, która, jak się zdaje, stanowi ilustrację powyżej wypowiedzianego twierdzenia. Pan Z. W., rozpatrując w szeregu artykułów stosunek inteligencji prowincjonalnej do ruchu umysłowego w kraju, potrafił o drażliwą stronę pewnej nieruchomości duchowej, którą cechuje się życie prowincji.

Przechodząc kolejno do rozmaitych stron tego życia p. Z. W. jak mi się zdaje natrafił na punkt bardzo ważny i rzucający silne światło na całą kwestyję. Mianowicie: zestawiając z jednej stro-

ny usiłowania i inicjatywę prasy, piśmiennictwa i w ogóle tego, co nazywają „ośrodkami duchowymi“ społeczeństwa, z drugiej zaś — zachowanie się wobec nich prowincji — wykrył, że związek, zachodzący pomiędzy jedną a drugą, jest bardzo słaby, prawie żaden; że przykładów chętnego i poważnego obcowania inteligencji prowincjonalnej z dziedziną zagadnień ducha naliczyć można bardzo mało. Zresztą p. Z. W. ostatecznego poglądu jeszcze nie wypowiedział. Jednak zdaje mi się, że powyżej wypowiedziany musi być konieczną konsekwencją jego artykułów. Co więcej — rys ten może charakterystyczniejszym jest dla tej części prowincji, którą znamy pod nazwą „inteligencji młodej lub postępowej“ — niż dla jakiej bądź kolwiek innej. Przynajmniej jest on więcej uderzającym w byłych farysach i ikarach, aniżeli w t. z. hreczkosiejach i zjadaczach chleba.

Zapewne inteligencja prowincjonalna zaprotęstuje gorąco przeciwko temu — przynajmniej... po dłuższym namyśle. Dotąd jednak niebardzo przyjmuje do serca ciężkiego oskarżenia. Pospieszam dodać, iż w odpowiedzi na artykuły p. Z. W. nadeszło kilka listów i że dawały się słyszeć głosy obrony, odpowiadające na oskarżenie — oskarżeniem. Słyszałem mianowicie, że prace inicjowane przez „ośrodki“ zbyt często noszą piętno — „literackości“, że przez to mogą interesować tylko nieliczną garstkę specjalistów.

Zdaje mi się, iż w tym razie „literackość“ została zastosowaną mylnie.

Postaramy się jednak szczegółowiej zbadać jedną z dziedzin pracy, w której inteligencja nasza, jak i każda inna, powinna świecić przykładem.

Nie trzeba rodowodu filologicznego, ażeby zrozumieć, że za taką dziedzinę należy uważać sprawę oświaty — ludowej przedewszystkiem. O tem mówili w swoim czasie wszyscy.

Może do ostatniej chwili nie znajdziemy hasła, na które z równą gotowością godziłyby się wszystkie odcienie myślącego ogółu, bez względu nawet na różnicę marki partyjnej. Bardzo nieliczne okazy pozwalały sobie satyrycznie wierzgać w kierunku tego hasła.

Ruch umysłowy „ośrodków“ odpowiadał sympatii, jaką otoczono hasło. W krótkim stosunkowo czasie zjawily się całe szeregi gorszych i lepszych wydawnictw ludowych, w prasie notowano je i oceniano z godną zaznaczenia sumiennością. Parę lat trwała — i nie ustała zresztą dotąd ta praca. Jeżeli pisma nasze zbyt mało drukowały wyczerpujących studyjów teoretycznych w kwestyi oświaty i jeżeli nie mamy dotąd odpowiedzi na zagadnienie, czem być winna książka ludowa? — to sędzę, że wytłomaczyć to można nie niedbalstwem autorów, ale raczej zawiłością kwestyi. Odpowiedź ta potrze-

buje nadzwyczaj gruntownej znajomości życia, bardzo obfitego materiału spostrzeżeń i faktów.

Nie tylko „ośrodki“ zrozumiały doniosłość sprawy. O ile można sądzić z cyfr statystyki ruchu wydawniczego i z tego, że księgarze ludowi mogą egzystować u nas — zdaje się, że i czytelnik z ludu nie kazał na siebie czekać.

Nie mam pod ręką dokładnych danych. Mogę jednak twierdzić z pewnością, że roczny obrót literatury ludowej daje kilkadziesiąt i wyżej tytułów i paręset tysięcy egzemplarzy książek popularnych. Są drugie i trzecie wydania lepszych rzeczy, a prócz tego istnieje stały kilkotysięczny kontyngens prenumeratorów *Zorzy* i *Gazety świątecznej*. I to wszystko dokonane zostało — z impulsu samej tylko Warszawy. Mógłbym przytoczyć inne analogiczne dane ruchu czytelniczego wśród ludu; sędzę jednak, że powyższe aż nadto wystarczają do stwierdzenia taktu, że kwestyja czytelnictwa ludowego nie jest przywidzeniem lub chorobliwą potrzebą literatów, lecz naprawdę została wysunięta przez życie samo.

Z drugiej strony uprzednio już wykazałem, że prasa i autorowie zachowali się wobec niej jeżeli nie całkiem dobrze, to „correcte.“

Zachodzi więc teraz pytanie, jak wobec tego zagadnienia stanęła inteligencja prowincjonalna?

Sędzę, iż kwestyi oświaty ludowej, mimo że pióro i papier są przy niej potrzebnymi, nie będziemy uważali za „literacką“?

Tem ciekawszą jest odpowiedź. A wiąże się ona z innym pytaniem: co inteligencja prowincjonalna mogła właściwie zrobić w tym kierunku? Zdaje się że tylko: po 1) dopomóż bezpośrednio samemu czytelnictwu i po 2) dopomóż pracy „literackiej“ autorów i pism.

Co do pierwszego punktu — odpowiedzi należy szukać znowu wśród cyfr. Owe parę set tysięcy egzemplarzy, które się rok rocznie rozchodzą, idą przez następujące ręce — po 1) przez kolporterów i księgarzy, takich jak Breslauer i Langowa, następnie przez Kolińskiego, Bukowieckiego, Prószyńskiego i innych; po 2) przez odbiorców bezpośrednich, z grona samych czytelników którzy przy pośrednictwie pism lub osobiście nabywają książki w Warszawie, po 3) wreszcie przez tych letników miejskich, którzy, wyjeżdżając na wakacje, zapakują się w podarki dla swych znajomych na prowincji.

Sędzę, iż jeżeli, przez grzeczność — w szeregu tym postawimy na 4-em miejscu właściwą zamiejscową inteligencję, to nawet ona sama uczuje pewne zakłopotanie i posądzenie to od siebie odsunie.

Pozostaje do rozpatrzenia punkt drugi t. j. udział inteligencji zamiejscowej w pracy „literackiej“ na polu oświaty. Wszyscy znający jako ta-

mnie, chcąc się przekonać, czy widzę, jak go szanują...

Przejechawszy miasteczko, wjechaliśmy w śliczną aleję, wysadzoną drzewami, po której obu stronach rozpościerał się ogród, co miało ochotę park naśladować, i stanęliśmy przed dużym budynkiem z wieżyczkami po obu stronach, zakrawającym na pałac.

— Oto moja chatynka — ozwał się z udaną pokorą Szymek, patrząc na mnie z pod oka.

— To cudowne! — odpowiedziałem.

Było to bardzo brzydkie, ale cóż miałem robić?

Na ganku ukazała się kobieta, odświętnie ubrana, odświętnie uczesana, odświętnie nastrojona. Nie była to już owa bezbarwna dziewczynka, którą lat temu piętnaście zaprowadziłem przed ołtarz, ale tłusta dama, z loczkami nad czołem, z wysoką fryzurą, mocno wystrojona, której nie można było określić ani wieku, ani charakteru, ani usposobienia, ani nic zgoła, bo nie było w niej żadnej cechy, oznaczającej kobietę — już nie kobieta ale gospodyni, której umysł zatonął w kuchni, rachunkowej książce i dzieciach, których pragnie mieć jak najwięcej.

Powitała mnie bardzo czule i weszła ze mną do przedpokoju, gdzie stało troje bębnow, ustawionych jakby na przegląd.

— Aha! i to twoje? — zwróciłem się do Szymka.

Potwierdził uradowany i przedstawił mi Zośkę, Janka i Gucia.

Drzwi od salonu były otwarte. W głębi fotelu coś się trzęsło. Był to stary, sparaliżowany widocznie człowiek.

— To mój dziadek — rzekła pani domu — bardzo stary, ma już lat dziewięćdziesiąt. Dziaduniu, to przyjaciel Szymka — wrzasnęła mu z całej siły do ucha.

Starzec wysilił się, żeby mnie przywitać — zatrząsł się mocniej, wydając niezrozumiałe odgłosy. Skłoniłem się i padłem na krzesło.

W tej chwili wszedł Szymek, śmiejąc się głośno.

— Aha! już się poznał ze starym! powiadam ci — niezrównany! prawdziwa rozkosz dla dzieci. Łakomy, ale to powiadam ci, tak łakomy, żeby się zjadł na śmierć, gdyby mu pozwolono. Zobaczysz przy obiedzie jak on oczy zawraca do każdego półmiska, a szczególnie do słodczy, jakby to były kobiety. Nie spotkałeś nic podobnego, ubawisz się, powiadam ci.

Zaprowadzono mnie do zawczasu przygotowanego pokoju, żebym mógł się przebrać do obiadu. Idąc, usłyszałem za sobą gwałtowne tupanie po schodach. Obejrzałem się zdziwio-

ny — to wszystkie dzieci jak procesyja szły za mną, prawdopodobnie z wielkiego uszanowania. Okna mego pokoju wychodziły na równinę płaską, gładką, bez końca się rozciągającą, jakby morze trawy i owsu. Oko nie mogło się zaciepić na żadnym wzgórk, na żadnej drzewinie, na żadnym krzaczku tarniny choćby. Wszędzie, jak okiem zajrzysz, gładko a płasko, jak w życiu, które prowadzono w tym domu.

Dzwonek się ozwał — to znak do obiadu. Zeszedłem na dół.

Pani mię z gracyją ujęła pod rękę i ceremonijalnie wprowadziła do stołowego pokoju, przed nami lokaj posunął fotel dziadka, który, gdy go umieszczono przed talerzem, zaczął się łakomie rozglądać postole, oglądając potrawy już ustawione, owoce i ciasta, z trudnością poruszając ciężką, bezmyślną głową. Wtedy Szymek zatart ręce wesoło.

— Jakaż będzie zabawa — szepnął.

Dzieci, domyślając się, że to miało być przedstawienie specjalnie dla mnie, zaczęły się szturchać i uśmiechać, podczas gdy ich mama wrzasała lekko ramionami, choć i w niej widniało zadowolenie.

Szymek zbliżył się do dziadka i krzyknął mu nad uchem:

— Dzisiaj będziemy mieli ryż ze śmietaną!

ko naszą literaturę popularną wiedzą, że wśród nazwisk jej autorów—niema ani jednego z zamieszkujących prowincję. Pod tym względem łatwiej jest o współpracownika z Paryża, aniżeli np. z Radomia czy Wólki.

Co ciekawsze: zdarzają się u nas nawet autorowie (niedrukowani zresztą) wprost z ludu, którzy starają się poruszać i opracować jakąś ważną dla wioski czy okolicy kwestyję. Nie ma jednak ani jednego adwokata, doktora czy rolnika, któryby chciał opowiedzieć coś w kwestyjach nieraz tak dobrze sobie znanych.

O bepośrednim więc udziale inteligencji zamiejscowej w twórczej pracy literackiej—mowy być nie może.

Ale jest jeszcze jedna strona tej sprawy—strona bardzo ważna, którą właśnie zamiejscowi mogliby rozjaśnić i opracować należycie. Mówię o tym materiale spostrzeżeń i faktów bezpośrednich, zaczerpniętych z życia, które pracownikom literackim mogłyby dopomóc w kwestyi metody i treści literatury popularnej, które byłyby cenną wskazówką jak i o czym trzeba pisać, czem różni się poziom umysłowy i życiowy jednej okolicy od drugiej? Słowem o tem, przez co inteligencja zamiejscowa—tak często wykpiwająca po niewczasie nieudolność prób literata na polu literatury dla ludu—mogłaby swoim doświadczeniem zastąpić brak gruntu życiowego, będący smutną koniecznością życia miejskiego; o tem wreszcie co by uchroniło nieraz biedaka—czytelnika od wydawania pieniędzy na książkę na nie nie przydatną.

Czy i o ile więc przyczyniła się prowincja w tym kierunku—co zrobiła?

Zauważmy przedewszystkiem, że pisma stoją otworem dla najdrobniejszych danych w tej kwestyi, że, o ile wiemy, zrobiły wszystko co do nich należało.

W maju 1890 roku „Głos“ po uprzednim wydrukowaniu w numerach wydał odbitki dwóch „kwestyjonyjuszów“¹⁾ o czytelnictwie ludowym; wszystkie prawie pisma warszawskie i prowincjonalne zamieściły o nich notatki, przed paru miesiącami jeden z kwestyjonyjuszów raz jeszcze został rozesłany do redakcyj pism prowincjonalnych—które po raz drugi odezwały się o nim. Nie żałowano egzemplarzy okazowych i gratisowych dla upowszechnienia o nich wiadomości i zachęcenia do poszukiwań. Nareszcie rozprzedano w redakcyi i księgarniach znaczną bardzo, bo około 1000, liczbę egzemplarzy.

¹⁾ „Kwestyjonyjusz w sprawie czytelnictwa ludowego“ ułożyli Antoni Potocki i Zygmunt Wasilewski.

²⁾ „Co i jak lud nasz czyta“ nap. M. Brzeziński. Pierwszy był również „in extenso“ powtórzony przez „Wisłę.“

Pomarszczona twarz dziadka zaczęła drgać mocniej i rozpromieniła się. Zrozumiał.

Obiad się zaczął.

— Patrzaj — szepnął do mnie Szymek.

Dziadek nie lubił zupy i nie chciał jej jeść. Ale zmuszano go do tego, „bo to zdrowe.“ Służący pakował mu wtedy pełną łyżkę do ust, siłą, a stary, nie chcąc połykać, parskał, zupa strumieniem spadała na stół i na sąsiadów. Dzieci pokładały się ze śmiechu a Szymek, rozbawiony, ciągle zwracał moją uwagę na ten obrzydliwy widok, powtarzając zcicha:

— A co, nie zabawny nasz stary? co? he?

I cały obiad wszyscy się nim zajmowali. Starzec pożerał oczyma potrawy, które stawiano na stole, jego prawie bezwładne, trzęsące się gorączkowo ręce próbowały chwycić z półmisek, które umyślnie stawiano blisko niego, aby ubawić się jego rozpaczliwymi wysiłkami. Jego bezbarwne, wypełzłe oczy napędliały się łzami, usta zaślinione otwierały się, wydając niezrozumiałe jęki, nozdrza chciwie zapach wciągały, cała postać wyrażała rozpaczne, namiętne błaganie. A rodzina rozkoszowała się tą jego męczarnią, tym wstępnym, odrażającym widokiem.

Wreszcie, uraczywszy się ze starcem do syta, wkładano mu na talerz maleńki kawałeczek potrawy, którą on chciwie od razu pożerał, ażeby mu jej dano więcej...

W ten sposób upłynął rok i kwartał.

Nie ciekawe były plony tej próby: na kwestyjonyjusz pierwszy otrzymaliśmy 2 (dwie) odpowiedzi.²⁾ Obie nadesłano w pierwszych miesiącach po wyjściu „kwestyjonyjuszów“—cały rok następny nie przyniósł nic. Otrzymałszy również 3 czy 4 listy w sprawie kwestyjonyjuszów. Próba pana M. Brzezińskiego była, jak się zdaje, jeszcze mniej skuteczną—jeżeli zgoła można porównywać dwa niepowodzenia.

Sądzę, iż odpowiedź na punkt drugi jest wyczerpaną zupełnie...

Chciałbym jednak, ażeby nie pozostawało żadnych wątpliwości, co do przyczyn właściwych tej idealnej wstrzemięźliwości inteligencji zamiejscowej na polu pracy „literackiej.“

Można pominąć argument zdawkowej natury, że zrobić tego nie można—zdaje się zresztą, iż używają go tylko ludzie, którzy sami nie wierzą w swoje poglądy.

Najczęściej dają się słyszeć głosy, że poszukiwania, objęte przez kwestyjonyjusz—są bardzo skomplikowane i wymagają znacznej pracy. Co prawda, p. K. Rodosławski zebrał swój bardzo cenny, materiały w przeciągu 1½ miesiąca; nie obowiązuje również zupełne wyczerpanie przedmiotu, ale może ta cała praca jest na prawdę tak trudna?

Posłuchajmy, co o tem mówią gdzieindziej. W roku 1887 pan A. Prugawin publicysta ruski wydaje kwestyjonyjusz w sprawie czytelnictwa ludowego. „Przy tem, mówi p. Prugawin, wyraziłem nadzieję, że głos nasz nie będzie głosem wołającego na puszczy i że do apelu staną ci wszyscy, którzy na prawdę myślą o rozwoju i oświeceniu ludu. Z prawdziwą przyjemnością pośpieszam ogłosić, żeśmy się nie omylili: na wołanie nasze odpowiedziało mnóstwo osób (około 200) z najrozmaitszych stron Rosyi. Mamy tutaj nauczycieli i nauczycielki, duchownych, obywateli, oficerów, włościan, studentów, księgarzy i t. d.“³⁾

Świadek pan A. Prugawin jest już bardzo wymowne. Ale to tylko wstęp. Ciekawsze dane podaje p. N. Rubakin, również publicysta rosyjski. Oto co pisze pan Rubakin: „Ułożyłem swój kwestyjonyjusz w sprawie czytelnictwa ludowego, mając na celu teoretyczne opracowanie kwestyi; na zbieranie materiały, dla wielu względów, nie rachowałem wcale. Rezultaty, jednak były bardziej poważne, aniżeli się tego było można spodziewać: od 1 Września 1889 roku do 1 Stycznia 1889 otrzy-

²⁾ Składamy przy sposobności podziękowanie p. p. Antoniemu Anczewiczowi i K. Rodosławskiemu (pseudonim) za nadesłany materiały, i prosimy o dalszą pomoc.

³⁾ „Zaprosy naroda i obowiązności inteligencji.“ A. J. Prugawin. 1890 r. Str. 207.

Gdy na stole ukazał się w końcu upragniony ryż ze śmietaną, stary zaczął drgać konwulsyjnie, jęcząc z łakomej chciwości. Miły Guccio zaczął go drażnić.

— Dziadek nie dostanie ryżu! — krzyczał — dziadek za dużo już jadł.

I udano, że półmisek sprzątają. Wtedy starzec zaczął płakać gorącymi, bujnemi łzami, co strumieniem płynęły po jego trzęsącej się twarzy. Wszyscy się pokładali ze śmiechu.

Przyniesiono mu wreszcie wydzieloną skąpo cząstkę, i chciwie rzucił się na nią. Za dużo wziął w usta od razu, zadławił się i zaczął krztusić, ruszając długą, czerwoną szyją, jak kaczka, której za wielki chrapaszcz stanął w gardle... Wreszcie przełknął, skończył jeść i zaczął tupać nogami, żeby mu dali jeszcze.

Bezmierna litość walczyła we mnie z oburzeniem na widok tego śmiesznego, a tak bardzo biednego Tantala. Zacząłem i ja prosić za nim.

— Słuchaj, Szymek, po co ty jego tak męczysz? Dajże mu jeszcze trochę ryżu, kiedy tak prosi!

— Niepodobna, mój drogi. Pojmujesz, w takim wieku, tyle już jadł, a gdyby mu to zaszkodziło?

Zamilkłem, rozmyślając nad tem powiedzeniem. I to ma być moralność, logika, rozum! W jego wieku mogłoby zaszkodzić. A zatem,

małem więcej niż 500 listów od 303 osób. W tej liczbie najwięcej nauczycieli (105) i nauczycielek (61); reszta — od felczerów, inżynierów, duchownych (3), robotników (9), włościan (13) itd. Najwięcej odpowiedzi dały okolice Petersburga. Materiały jest nadzwyczaj różnorodny: duże kajety, odpowiadające na cały kwestyjonyjusz, odpowiedzi na jedno lub dwa pytania, notatki ołówkiem, autobiografie nawet. Prócz tego otrzymałem więcej niż 450 przeróbek z najcelniejszych powieści rosyjskich autorów, wreszcie poprzysyłano mi nawet drobne sprawozdania, wycinki z pism i t. d. Lecz najdroższym dla mnie nabytkiem jest sama korespondencja w sprawie kwestyjonyjusza z wielu osobami przeprowadzona. Cenię ją, jako jeden ze środków, skromnych co prawda, lecz zawsze środków obcowania i porozumienia pomiędzy pracownikami.

Zdaje się, iż nie należy wątpić, że w Rosyi nietylko brak pracowników, ile brak łączności między nimi.⁴⁾

Ostatnie wyrazy p. Rubakina wobec rezultatów jego próby wydadzą się zapewne czytelnikowi pedanteriją, zbyt wielkim wymagań. Myślę, że tam gdzie „felczerzy, duchowni i oficerowie“ w jednym szeregu stają do pracy — tam na brak łączności narzekać nie można. Jednocześnie dane p. p. Prugawina i Rubakina rzucają pożądane światło na pytanie obecnie nas zajmujące: ilość i rodzaj współpracowników ich kwestyjonyjuszów nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że poszukiwanie nad czytelnictwem ludu należy do prac, które „inteligencja“ wykonywać może i potrafi. Nie ma tu mowy o tem, że praca ta jest zanadto... literacką. Jeżeli robota nie przekracza miary uzdolnień robotnika i włościanina, to czyż odwoływania się do jej „literackości“ nie upokarzają wszystkich tych, którzy roszeją pretensyję do miana „inteligencji“?

Dane, które tu starałem się zgromadzić, rzucają pewne światło na kwestyję popularnego hasła i związanez niem twierdzenia ogólne. Są one również przyczynkiem do sprawy, poruszonej przez p. Z. W.

Wnioski każdy z łatwością sam sobie wyprowadzi.

Chciałbym więc tylko przy sposobności przypomnieć czytelnikom, że niezależnie od tych wszystkich uwag, kwestyjonyjusz i zadania przez nie omawiane — istnieją w dalszym ciągu. Prosimy więc o dalsze nadsyłanie materiały, który jest bardzo pożądanym.

Antoni Potocki.

⁴⁾ „Siewiernyj Wiestnik.“ 1891 r. Nr. 4.. Str. 111.

odbierano mu jedyną przyjemność, której jeszcze mógł doznać, właśnie dla tego, że był w takim wieku! Mogłoby mu zaszkodzić! A kogóż tam mogło obchodzić jego zdrowie i życie? co komu po tem życiu? I wieleż to tego być mogło? Tydzień? miesiąc? rok? co komu zależało na tem? Jemu, czy też jego miłej, kochającej rodzinie?

Przecie on już nic nie miał do roboty na świecie. Pozostało mu jedno, jedyne pragnienie, jedna, jedyna radość. Czemuż nie pozwolić mu ostatniego zadowolenia, choćby to miał życiem przypłacić?

Obiad się wreszcie skończył — zasiedliśmy do długiej, nieskończonej partyi wista. W końcu udało mi się wyrwać i uciec do innego pokoju. Było mi smutno, oh, jak smutno! Wyjrzałem oknem. Cisza panowała na około, tylko gdzieś w dali ptaszek śpiewał, usypiając swoją samiczkę i pisklęta. Przyszły mi wtedy na myśl lata dawne i Szymek dzisiejszy, dumny ze swoich pięciorga dzieci, zasypiający mocno w tej chwili obok swojej grubopłaskiej połowicy, która dziś mu wystarczała zupełnie. Wściekły byłem...

O życie! życie, co ty z ludźmi wyrabiasz! O ludzie, ludzie, co wy sami z sobą robicie!

Ewolucja pojęć prawnych.

11.

Instytucje i formy polityczne nie powstają nigdy drogą nagłej krystalizacji. Podobnie jak organizmy żyjące rozwijają się one powoli i stopniowo. Drobne plemię monarchiczne, o którym mówiliśmy wyżej, jest już wyraźnym zarodkiem wielkiej monarchii despotycznej; ale pomiędzy pierwszym a drugą istnieje pewien jasno określony stan pośredni. Tę przejściową fazę stanowi właśnie mała monarchia barbarzyńska, w prawnych zwyczajach której spotykamy jeszcze wiele pozostałości demokratycznych. Znajdujemy ją pośród kolorowych ras Afryki, Azji i wysp Malajskich.

Afryka środkowa, od Aszanti do wielkich jezior zasiana, jest wieloma niezależnymi państewkami, stanowiącymi nie rozerwalne pasmo grup etnicznych jak Bambara, Maurowie, Mandingowie i t. d. U Bambara istnieją trzy kasty: kowali, garbarzy i śpiewaków; każda podlega specjalnemu sądownictwu własnego naczelnika. Za cudzołóstwo oboje winni pozbawieni są życia. Zresztą kowal bambara tylko wówczas karany jest śmiercią, gdy go schwytano na cudzołóstwie z kobietą panującej kasty — „masasi.“ Wszelka kradzież karana jest z fanatyczną surowością. Jedną z żon Mtezy, króla Ugandów za samowolne zerwanie owocu i ofiarowanie go mężowi, skazaną była na śmierć, choć była najulubieńszą z faworytek królewskich. Wielkich przestępców pałą Ugandowie żywcem. Pomimo jednak napadów surowości monarcha nie zapomina o własnych interesach materyjalnych. Przed każdym procesem nakazuje obu stronom złożyć w bydle wartość przedmiotu spornego a następnie zabiera to w formie kary. Każde postanowienie królewskie poddany przyjmuje z entuzjazmem. Człowiek, którym łaskawy monarcha raczył się zająć w jakikolwiek sposób (np. aby go ukarać) winien radość swą okazać psią mimiką, tarzać się w piasku i wykrzykiwać radośnie. U Maurów z Senegambii przestępcy stawieni są bezwzględnie przed oblicze sułtana, który sędzi ich całkiem własnowolnie. U Mandingów istnieje rodzaj sądu publicznego, w którym po wysłuchaniu zarzutów i obrony tłum sankcjonuje lub odrzuca wyrok sędziego.

Najpiękniej okaz więzienia spotykamy u Dahomejczyków. Jest to jama w formie studni, w której skazani siedzą w nieczystościach i robactwie a pożywienie otrzymują od przyjaciół i rodziców. Więzienie takie trwa krótko ale zastrzeżeniem bywa nieraz systematyczną chłostą.

Monarcha kafryjski rządzi terrorem, i jest nadzwyczajnie pyszny. Pochwały, jakie odbiera od poddanych, świadczą o rozciągłości jego władzy i o moralności kraju. Odwołując się do króla, poddani nazywają go bez różnicy, „wielkim panem“ „wielkim czarownikiem“, „wielkim rozbójnikiem.“ Jako najwyższy, pełnomocny sędzia monarcha kafryjski jest panem życia i śmierci swych poddanych; może zwałże decyzyje, powzięte czy to przez naczelników klanu, czy też przez naczelników wsi. Tylko w wypadkach zdrady, powstania lub czarnoksiężstwa król zbiera radę najwyższą. Zabójstwo jest u Kafarów sprawą prywatną; nie sprowadza ono na winowajcę żadnej odpowiedzialności, prócz zemsty osobistej.

Jak u wszystkich narodów pierwotnych czarnoksiężstwo odgrywa ważną rolę w kryminalistyce Kafarów. Zły mag, sprowadzający np. niepogodę, karany bywa śmiercią. Tkwi w tem zarodek idei przestępstwa społecznego.

U Hovasów (na Madagaskarze) istnieje zwyczaj tak zwanej „tangeny“. Jest to sąd, wykonywany za pomocą zatrutego płynu. Próba odbywa się najpierw na psie lub kurze i jeżeli zwierzę wytrzyma truciznę, wówczas niewinnym obwinionego została dowiedziona. W przeciwnym razie sam poddać się musi próbie. *Tangena* zabiera na Madagaskarze około trzech tysięcy ludzi rocznie.

Na Formozie poszkodowany na własności wdzięra się do domu złodzieja i gdy ten ostatni nie chce zapłacić wynagrodzenia za krzywdę, zabiera wszystko, co mu się podoba. Za cudzołóstwo zabierają winnemu dwa lub trzy wieprze. Obawa zemsty jest tu posunięta tak daleko, że kobieta zamężna może być zabita, gdy się ośmieli ofiarować cudzoziemcowi kwiatek lub cygaro.

Na Sumatrze za zabicie kogós ze znakomych ludzi płaci się 500 piastrow kary; za człowieka zwyczajnego 80 piastrow. Za uczynek cudzołóstwa małżonek oszukany ma prawo zabić obie strony;

jeżeli zaś oszczędzi kobietę wówczas zapłacić musi 50 piastrow sędziom.

We wszystkich tych drobnych monarchiach ogólne pojęcie prawa jest jeszcze zupełnie dzikie. O sprawiedliwości oderwanej nie ma tu jeszcze mowy; przestępstw nikt nie notuje. Istnieją tylko krzywdy, których powetowania domagają się już w dokładnym, stale oznaczonym stosunku, bo idea zemsty wyraźnie zarysowała się w umysłach.

Dalszą fazę rozwoju sprawiedliwości widzimy w *wielkich monarchiach barbarzyńskich*, jak starożytne Peru i Meksyk. W Peru król był pół-bogiem, rozkazy zaś jego poczytywano za wyrocznię, o których nie wolno było dyskutować. Największym przestępstwem było powstanie, uważane za świętokradztwo. Wystarzało tylko odezwać się niewłaściwie o Inku lub słońce, jako ojcę, aby być skazanym na śmierć. Wielki prawodawca peruwiański, Inka Paszakuteh, oznaczył karę śmierci przeciwko złodziejom, cudzołożnikom, gwałtcielowi i podpalaczom. Za największe przestępstwo uważano niewierność którejkolwiek z małżonek królewskich. Oboje winni byli żywcem paleni; rodziców ich, braci i najbliższych kuzynów zabijano; niszczone wieś, w której mieszkali, a nawet wycinano w pień drzewa w miejscowości, z której pochodzili.

Starożytne Peru jest jednym z niewielu przykładów socjalizmu państwowego. Jednostka pozbawiona tam była wszelkiej inicjatywy; od kolebki aż do mogiły podlegała stałej regule, zastawianej do stanowiska, zajmowanego w społeczeństwie. Baczne oko administracji nie spuszczało nikogo z widoku; egzystencja każdego oznaczona była naprzód już w najdrobniejszych szczegółach. Każdy z poddanych regulował swe wydatki podług określonej noriny. Podczas godzin obiadowych drzwi musiały być otwarte, aby specyjalni nadzorcy mogli zobaczyć, czy się zastosoowano do praw, regulujących wydatki każdej rodziny. Określony był wykaz potraw obiadowych a nawet rodzaj dozwolonej odzieży. Zabroniono np. używania przez ogół złotych lub srebrnych ozdób. Prawo było jednakowo surowe i dla własnych urzędników. Nieuczciwi pośród nich karani byli śmiercią.

W Meksyku monarcha posiadał także olbrzymią władzę, chociaż kraj znajdował się w rządzi feodálnym a nawet istniało jeszcze grupowanie się w pokrewne klany. Jeden z kacyków, zapytany czy jest poddany króla Montezumy, wykrzyknął z oburzeniem: „Czy jest na świecie ktośkolwiek, coby nie był poddany Montezumy?“

W każdym mieście meksykańskim zasiadał wielki sędzia, ustanowiony przez króla. Król zaś we własnym pałacu odbywał sądy nad znakomitszymi ludźmi plemienia. Kodeks meksykański był nadzwyczajnie surowy. Prawa były zapisywane i wystawiane na widok publiczny. Złodzieja przedmiotów złotych lub srebrnych obdzierano ze skóry. Chęć zabójstwa karano tak samo, jak zabójstwo. Za pijaństwo młodych mężczyzn zabijano kijami, dziewczyny zaś kamienowano. Niewierna żona bywała rąbaną na kawałki i zjadaną przez świadków. Za potwarz obcinano wargi. Karano śmiercią tych, co się przebiegali w odzież innej płci, prawdopodobnie dla tego, że to ostatnie przestępstwo łączyło się często z sodomiją. Podług słów Torquemady było w Meksyku 4.000 świątyń i około miliona kapłanów. Karność duchowna była bardzo ostra. Kapłana za złamanie ślubu czystości zabijano kijami. Istniała w Meksyku i spowiedź podobna do katolickiej. Odkładano ją do późnej starości i odbywano raz w życiu.

Rozgrzeszenie miało charakter prawny; raz otrzymane zabezpieczało winnego od wszelkiego prześladowania sądowego.

Monarchiją barbarzyńską był także starożytny Egipt. Królowie egipscy skazywali na śmierć bez żadnych formalności sądowych. Mogli zmieniać prawa podług fantazyi i dyktować nowe. Ramses III zaleca sędziom surowość a zbyt łaskawych sędziów skazuje na obcięcie nosa i uszu, oraz ciężkie roboty. Prawodawstwu swemu przypisywali egipcyanie boski początek; to też nieraz skazywano na kary, mające być zastosowanymi dopiero w przyszłym życiu. Za fałszywe oskarżenie skazywano oszczereć na karę, którejby podlegał obwiniony, gdyby był istotnie winny. Uwięzionych zamykano w smrodliwym i dusznym lochu, nogi zaś ich kładziono w ekskrementy. W pierwszym stadium sprawiedliwości cudzołożną kobietę palono żywcem; potem obcinano jej nos. Za kradzież z początku skazywano na śmierć, potem obcinano nos. Karano śmiercią za zabójstwo niektórych zwierząt, poczytywanych za święte np. kota, kroguleca, ibisa.

Skazywano także na śmierć za niektóre nieznaczne przestępstwa, uważane za świętokradztwo, jak np. za śmiałość twierdzenia, że Serapis był mężczyzną. Rzemieślnik, zajmujący się innem rzemiosłem niż ojciec, podlegał ciężkiej karze. Jeżeli doktor dawał choremu na wymioty przed czwartym dniem choroby, mógł uleść karze śmierci.

W Abisynii strona obrażona może sobie sama wymierzyć sprawiedliwość. Drobnią kradzieżą karzą obcięciem kijami; większą — przez obcięcie ręki lub nogi. Za przestępstwo przeciwko religii winny bywa ukrzyżowany lub ukamienowany.

Z chwilą, gdy monarcha staje się osobistością, pochodzącą od boga lub samym bogiem, gdy z drugiej strony pozostaje nowa, liczna, poważna i bogata klasa kapłańska, stanowiąca prawie jedno ciało z władzą królewską — formuje się nowy stan prawny, potępiający prosty i pierwotny instykt sprawiedliwości, opartej na formule odwetu „życie za życie“.

Miara sprawiedliwości staje się aparatem kapryśnym, ważącym też same czynności rozmaitemi wagami. Wynika ztąd konieczność, że biedny prostaczek, zbity z tropu tą nierównością, która zdaje się z góry pochodzić, robi sobie ze sprawiedliwości pojęcie niejasne, mitologiczne, nieposiadające wcale stosunku z realnym stanem rzeczy. Oparta na takich podstawach ewolucja sprawiedliwości odbywa się współzręcznie z rozwojem idei użyteczności publicznej.

Powyższe dane i szczegóły, jako czerpane z wielu drobnych obserwacji podróźniczych, nie dają jeszcze dokładnego obrazu sprawiedliwości odnośnych krajów. Dopiero w chińczykach spotykamy naród, eo do prawnej organizacji którego posiadamy już mnóstwo wiadomości dokładnych, popieranych samym tekstem kodeksów.

Rodzina chińska posiada zwykle jurysdykcję nad swymi członkami. Pierwszy stopień sądownictwa reprezentowanym jest przez mandaryna, pełnomocnika państwowego. Urzędnik ten sędzi sam, na osobistą odpowiedzialność. W sali sądowej znajduje się kat, który policzkuje obwinionego lub świadków skórzaną podszwaw wówczas, gdy sędzia znajduje to właściwym. Od tej sumarycznej sprawiedliwości wolno apelować do Pekinu, gdzie rezyduje ministerjum sprawiedliwości, złożone z dwóch prezydentów i czterech wice-prezydentów mandżurskich i chińskich. Kary, najbardziej używane w Chinach, idą w porządku ważności przestępstwa: chłosta, bicie bambusem, banicyja czasowa lub wieczna, na dystanse stopniowe od 500 do 3000 li (li=444 metrów), śmierć przez uduszenie lub ścięcie głowy. W najczęstszym użyciu są kije bambusowe. Skazani na śmierć pozostają w więzieniu do dnia egzekucji. Ta ostatnia przypada raz do roku, jednocześnie w całym państwie. W karach pieniężnych mężczyźni płacą daleko więcej, niż kobiety. Na wielkość kary wpływa także zajmowane stanowisko społeczne. Mandaryn po nad czwartym stopniu winien zapłacić 12,000 taelów, aby się wykupił od śmierci przez zaduszenie. Tam, gdzie mandaryn po nad czwartym stopniu płaci 4,500 taelów (za banicyję np.), mandaryn siódmego stopnia zapłaci 1,000 taelów, zwyczajny zaś człowiek 480 taelów. Jeżeli rodzice skazanego pragną go ocalić od śmierci, a są w możności zapłacenia skromnej kwoty około 200 rs., znajdują wówczas łatwo jakiego biedaka, który bierze na siebie karę właściwego przestępcy. Zastępca taki jest zwykle człowiekiem pozbawionym honoru, wyganianym przez własną rodzinę.

Zabójca skazany bywa w Chinach na śmierć nawet wtedy, gdy jest zabójcą nieumyślnym. Ponieważ państwo chińskie opiera się na podstawie rodzinnej, ojcobójca więc, jako największy przestępca, karany jest wraz ze współnikami swymi długą i okrutną śmiercią. Dzieciobójstwo za to, jako wchodzące w zakres szerokiej władzy ojcowskiej, nie przewidziane jest kodeksem chińskim. Uprawnia je ułomność noworodka, a zwłaszcza rozpaczliwa nędra rodziców, stanowiąca zresztą dość częsty objaw życia chińskiego.

Nieraz karzą Chińczycy za przestępstwa niezupełnie wyswietlone. Jeżeli ogień spalił przypadkowo czyjskolwiek dom, poszkodowany właściciel otrzymuje 40 uderzeń bambusowych, a jeżeli pożar sięgnął domów sąsiednich — 60 uderzeń. Podpalenie umyślne karzą stu kijami i trzema laty banicyi. Jeden tylko rodzaj kradzieży karano śmiercią, a mianowicie rozbój na publicznej drodze. Za kradzież z włamaniem wśród dnia skazywano na trzy lata banicyi, bez względu na wartość skradzionych przedmiotów. Cudzołóstwo, czarnoksiężstwo i świętokradztwo podlegały karze śmierci.

W całym kodeksie chińskim, wobec wszystkich ważniejszych przewinień brano pod uwagę pozycję, zajmowaną przez przestępcę w społeczeństwie. Nawet rodzaje rzemiosł wpływają na zmniejszenie lub powiększenie kary. Szczególniej urzędnicy podlegają nadzwyczaj surowej sprawiedliwości. Jeżeli sędzia w obwodzie swej jurysdykcji posiada skrycie jakakolwiek ziemię, otrzymuje 50 kijów bambusowych i traci zajmowane miejsce; jeżeli ożeni się z córką mieszkańca swego obwodu, podlega karze 100 kijów. Sługa za uderzenie swego pana bywa karany; jeżeli uderza z chęcią zabójstwa, umiera długą, męczeńską śmiercią.

Specjalne prawodawstwo stosuje się do króla i rodziny królewskiej. Król, wyleczony z choroby, skazuje na śmierć doktorów za to, iż w krytycznej chwili nie dali mu żadnego lekarstwa. Kucharz za wprowadzenie do potraw królewskich zabronionej rytuałem substancji dostaje 100 kijów. W maju 1845 r. wielu członków rodziny królewskiej skazano na uduszenie za to, iż palili opium.

Z historii Chin dowiadujemy się, że kraj ten, jak bardzo wiele innych, przeszedł od rządu republikańskiego do despotycznej monarchii; ta wsteczna ewolucja wpłynąć musiała na państwową organizację prawną. Podporządkowując wszystko monarchii absolutnej, zachowali Chińczycy ze zwyczajów republikańskich religijne uszanowanie dla organizacji rodziny, na której starano się nawet ufundować organizację państwową. Teoryja właściwej rodziny była w rzeczywistości nie zastosowalną, ale natchnęła prawodawców, a nieraz i sędziów względą łaskawością i uchroniła ich od wielu błędów, w które wpaść musiała Europa. Metafizyka nie dostarczyła sprawiedliwości chińskiej zasad abstrakcyjnych, jak idea wrodzonej sprawiedliwości, fikcyja czystego rozumu itd. W interesie porządku społecznego postanowiono, że suma odpowiedzialności powinna wzrastać z podniesieniem stanowiska społecznego i stopnia oświaty i tym sposobem kodeks chiński jest prawdopodobnie jedynym na świecie, który za toż samo przewinienie karze wielkich daleko surowiej, niż małych.

Jan Lorentowicz.

Geneza i znaczenie filozofii Spencera

przez
John'a Fiske'a.

Wziąwszy do rąk jakikolwiek podręcznik, lub księgę dziejów, napisaną w okresie, poprzedzającym środek naszego stulecia, znajdziemy zazwyczaj, iż jest to pozbawiony życia spis wypadków, w którym bardzo często pomieszane są ze sobą wydarzenia doniosłe i błahe bez jakiegokolwiek bądź uwzględnienia perspektywy historycznej. Pośród wielkich i przedziwnych ksiąg historycznych było, co prawda, wiele takich, w których ludzie, rozmiary i społeczne rysy danej epoki poszczególniej odtworzono z żywym realizmem, częstokroć zaś poddano sądowi bogatej w spostrzeżenia mądrości praktycznej; ale pogląd na przyczyny, ukrywające się w głębi owych wydarzeń, bywał zazwyczaj niejasny i chwiejny, zaś podstawowej jedności dziejów, pewnej solidarności różnorodnych działań ludzkiego rodzaju — prawie nie podejrzewano. Trzy wielkie księgi historyczne, które wzniosły się aż do przedstawienia jedności dziejów, można przytoczyć tutaj, jako przykład tego, z jak wielkimi trudnościami borykać się musiały wszelkie usiłowania podobne w braku owych szerokich pojęć naukowych, zdobytych dopiero w czasach nowszych. Bossueta „Roztrząsania dziejów powszechnych” były dziełem o zakroju szlachetnym; ale ograniczony nieuchronnie przez ciasną teologię swojego czasu, mógł on jedynie spostrzedz wielką doniosłość działalności rasy hebrajskiej, nie widząc zaś nic więcej — nawet jej samej nie zdołał ocenić należycie; z drugiej strony, co do jakiegokolwiek oceny przyczyn przyrodzonych, to wieknie jego odwoływanie się do cudowności uniemożliwiało mu tę sprawę jaknajzupełniej. W Voltairowskim szkicu „Zwyczajów i moralności narodów” znajdujemy wyraźny jak gdyby zarys jedności dziejów, ale natomiast widzimy tam bardzo słabe uznawanie różnicy pomiędzy jednym okresem cywilizacji a drugim, sama zaś książka jest do zbytku może jakimś kazaniem przeciwko nadużyciom duchowieństwa. W ol-

brzymiem dziele Gibbona spostrzega się dramatyczną jedność planu oraz takie poczucie dziejowej perspektywy, jakiego nie podobna się dość nachwalić ze stanowiska artystycznego. Jestto niewątpliwie książka nieśmiertelna, klasyczna po wszystkie czasy, ale pod względem tłumaczenia wydarzeń nie sprawiła wiele. Okres dwunastu wieków, jaki ogarnia ona, zawiera w sobie mnóstwo faktów niezmiernie doniosłych dla całej przyszłości, a które jednak nie zatrzymały dłużej uwagi autora. Niema tam żadnej świadomości tego, że okres ów, będący świadkiem rozkładania się i upadku pewnej organizacji politycznej, był w gruncie rzeczy okresem rozrostu i postępu raczej, nie zaś stagnacji i zamierania. Nadto, niema tam również żadnego wytłumaczenia wielkiego, wybitnego faktu upadania i niknięcia organizacji rzymskiego cesarstwa; mówią nam, jakie wypadki się zdarzały niekiedy, jak odbywały się one, ale rzadko kiedy możemy tam zrozumieć, dlaczego się one odbywały. Ujęcie przyczyn jest niezmiernie słabe, jak o tem przekonać się może każdy natychmiast, gdy odłożywszy Gibbona, weźmie do rąk jakiś tom Mommsena, Freemana albo Sira Henryka Maine'a.

Większa część braków dawnej metody historycznej z tego wynikała, że na świat spoglądano ze stanowiska statycznego — tak, jakgdyby obraz świata był szeregiem jakichś niespójnych obrazów rzeczy, pozostających w stanie spoczynku. Rodzaj ludzki, oraz jego ziemską siedzibę uznawano domyślnie za niezmiennie prawie, za bardzo podobne do obecnych. Na jeden wiek spoglądano tak samo prawie jak na drugi, kiedy zaś uciekano się do porównań, czyniono to w sposób, tak dalece różniący się od dzisiejszej metody porównawczej, jak alchemija różni się od chemii. Ponieważ badania ludzkie nie zwróciły się były jeszcze w takim kierunku, iżby pozwoliły im ocenić całyogrom skutków, jakie wywoływać może nagromadzające się powoli działania przyczyn nieznacznych, przeto byli oni pochopnymi do przypisywania zbyt wielkiej doniosłości przewrotom i rzeczom cudownym; to też, działalność potężnych jednostek, której wielką wagę uznawać musi wszelka, zresztą, zdrowa teoryja, nie tylko bywała przez nich powiększana, ale wprost stawała się niezrozumiałą, gdy z bohaterów ludzi — czynili oni pół-bogów.

Okazuje się tedy, iż sposób traktowania historii przez naszych ojców był istotną częścią ich sposobu pojmowania świata w ogólności. Zarówno w historii i jak w naukach przyrodzonych, widzieli się oni wobec chaotycznej napozór masy faktów, z jakimi rozprawić się mogli jedynie w sposób niewyraźny, tworząc, z nich małe odosobnione grupy. Dopóki geologija nie utorowała była choć trochę drogi, ludzie nie mieli środka dowiedzenia się, że istniał kiedykolwiek na ziemi stan rzeczy, jaknajzupełniej niepodobny do wszystkiego, o czem mogły nam mówić podania; to też, całkiem naturalnie sądzili oni, iż zawsze działo się tak, jak za ich życia.

Umysł ludzki nie może przesiągać doświadczenia. Człowiek, żyjący zawsze w otoczeniu względnie niezmiennem, nigdy, naturalnie, nie uwierzy w jakąś znaczną różnicę stanu rzeczy, dopóki nie przekona go o tem doświadczenie nowe. Jakże długo nie mogli ludzie pojąć tego, że świadectwo zmysłów musi podlegać kontroli systematycznego spostrzegania i rozumowania. Z tego stanowiska, jak również pod pewnymi innymi względami, dokonany przez Kopernika przewrót w teorii astronomii był jednym z największych wydarzeń dziejowych. Głębokimi były jego następstwa filozoficzne. Ucząc ludzi, iż niezbędnem jest czasem nie dowierzać pozorom zjawiska, oraz poddawać mniemania gminne jakimś probierzom krytyki — miał on znaczenie nieocenionej nauki poglądowej. Obok tej nagłej zmiany pozornego stanowiska człowieka we wszechświecie, ukazały się też zdumiewające skutki odkryć morskich, czterokrotnie rozszerzające rozmiary znanego podówczas świata i dające umysłowi naszemu możność zetknięcia się z nowymi i niespodziewanymi postaciami ustrojowej i nieustrojowej przyrody. Dalej, zjawia się Newtonowska teoryja astronomiczna, dzięki której pewne uogólnienie fizyki ziemskiej zostało zastosowanem do niebieskich przestworów i sprawdzonem ilościowo. Nastąpiło, wskutek tego olbrzymie rozszerzenie widnokęgów umysłowych, a zagadnień, bezpośrednio z teoryją ową związanych, wystarczyło do zaprzągnięcia najprzedniejszych matematyków przez całe stulecie. Czyniła ona człowieka obywatelem już nie tylko ziemi, ale i układu słonecznego. Na koniec, w czasach ostatnich, kiedy prawo ciężarzenia rozciągniętem zostało do wielu gwiazd i kiedy ana-

liza widmowa poczęła rozprawić się z mgławicami, mamy już obfite dowody tego, że własności materji, oraz sprawy znane nam dobrze na ziemi, znaleźć można w niektórych ciałach najdalszych, jakich dosięga teleskop, a w ten sposób doznawać musimy wrażenia, że wszystko to są części jednej całości zdumiewającej.

To rozszerzenie widnokęgów umysłowych od Newtona do Kirchhoffa, stosuje się do zagadnień przestrzeni. Do należytego zrozumienia początku i porządku świata niezbędnem też było takie same rozszerzenie widnokęgów myśli odnośnie do zagadnienia czasu. Ale, zanimby geologija mogła tu znacznie utorować drogę, potrzeba było, aby się choć do pewnego stopnia rozwinęły już fizyka i chemija — dwie nauki, uogólniające własności materji zarówno mas jak i drobin; tymczasem jakże nowymi są wszystkie ich odkrycia. Strach pomyśleć prawie, że t zaled wie jeden wiek minął od czasu, gdy Priestley odkrył tlen, gdy możliwem się stało dla nas powiedzieć, co się dzieje wtedy, kiedy spalamy w piecu wiązkę drzewa, że nie o wiele dawniej Black odkrył ciepło utajone — klucz do zrozumienia tego, co dzieje się, gdy woda marznie, topnieje albo się zamienia w parę. Zaledwie w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu fizyka i chemija poczęły przybierać postać spójnych całokształtów prawd naukowych. Oczywiście, nie podobna też było spodziewać się, że geologija przybierze kształt naukowy przed końcem wieku 18, albo że poczyni jakieś zdobycze wielkie przed początkiem 19 stulecia. Ale za to, gdy geologija święciła pierwsze swe zwycięstwo mniej więcej około 60 lat temu — była to w dziejach myśli ludzkiej chwila najważniejsza może od czasu ogłoszenia teoryi Newtona. Newton wykazał, że siły, utrzymujące planetę na jej drodze, nie są ani obcemi nam, ani nadprzyrodzonymi, ale takimi właśnie, z jakimi co chwila spotykamy się na naszej ziemi. Geologowie przed Lyell'em skłonni byli mniemać, że współczesna im postać powierzchni ziemskiej nie była bynajmniej jej postacią pierwotną, lecz że w ciągu wieków zmieniały się znakomicie stosunki lądów i mórz, że jednocześnie przeobrażały się też warunki gruntu i klimatu, a wraz z nimi jedne szeregi ustrojów roślinnych i zwierzęcych znikały, zaś ukazywały się inne. Aby wytłómaczyć sobie zmiany podobne, geologowie wyobrażali zrazu, że się odbywały na świecie gwałtowne przewroty, a to pod wpływem działań może nie całkiem nadprzyrodzonych, lecz w każdym razie bardzo niepodobnych tym, jakie oglądamy w zwykłym porządku przyrody. Tymczasem Lyell wykazał, że zupełnie tego samego rodzaju sprawy, jakie odbywają się teraz, mogły być w ciągu okresów długich spowodować w świecie nieorganicznym zmiany, odróżniające jeden okres geologiczny od drugiego.

Tutaj w badaniach Lyell'a poraz pierwszy zwrócono uwagę należyłą na olbrzymią doniosłość długotrwałego i nagromadzającego się działania przyczyn małych i nieznacznych. Ustawiczne spadanie kropli wody, zmywające powoli głązy, posłużyło za materyjał do całego szeregu pięknych poszukiwań, których wyniki zebrał on poraz pierwszy w roku 1830. Tak samo jak astronomija wytrwale zdążyła do wykazania tego, że siły, działające w najdalszych przestrzeni bezmiarach, są temiż, co i siły ziemskie, tak teraz geologija, prowadząc nas wstecz w niezmiernie odległe okresy czasu, poczęła uczyć, że siły działające niegdyś były zawsze te same, jakie działają teraz. W owem stadyum odległem, kiedy tworzyła się dopiero skorupa ziemska, kiedy temperatura była niezmiernie wysoka, zdarzały się, naturalnie, zjawiska, jakich obecnie oglądać nie możemy na ziemi, lecz, aby znaleźć odpowiadające im objawy musimy spojrzeć na jakąś planetę inną; do takich zjawisk należą np. gwałtowne wstrząśnienia atmosferyczne albo też dysonajacja chemicznych pierwiastków, jakie my znajdujemy zazwyczaj w ścisłym zespoleniu. Ale od chwili takiego już ostygnięcia ziemi, że skorupa jej zdobyła należyłą trwałość, od chwili, gdy przodkowie pomrównicy poczęli już pływać w wodach, zaś robaki człogać się w gruncie, od owej chwili, gdyśmy tylko byli mogli odwiedzić wtedy ziemię, znaleźlibyśmy niewątpliwie, że wszystkie sprawy odbywały się na niej prawie takim samym torem, jak dzisiaj: tu i owdzie zdarzały się trzęsienia ziemi lub spadek lawiny, płomienie albo popiół, ale, biorąc ogólnie, padały tam deszcze, słońce świeciło, kiełkowały trawy, pasły się twory ziemskie, a wszystko to odbywało się tak cicho i spokojnie, jak dzisiaj na umajonych kwiatami błoniach — bez najlżejszego przecucia owych nieprzerwa-

nych szeregów zmian odwiecznych, jakie stopniowo przeobrażały świat węgla w to, co powoli stawało się jurajskim światem, ten znany w świat eocenowy, aż wreszcie powoli, powoli wyłoniła się spokojnie obecna postać ziemi.

Głębokim był wpływ geologii nowożytnej na myśl ludzką i na ogólny kierunek filozoficznej spekulacji. Wykazano dowodnie, że świat nie był stworzony w postaci swej obecnej, lecz że przybierał kolejno kształty wielorakie, z których późniejsze bardzo się różnią od dawnych; wykazano też, że w pewnej mierze — przynajmniej o ile dotyczy to świata nieorganicznego — zmiany te o wiele bardziej zadawalniająco dają się wytłómaczyć nieustannym i powszechnym działaniem znanych nam przyczyn, łagodnych i nieznacznych, niżli przez odwołanie się do urojonych przewrotów, o jakich przeswiadczyć się nie mamy sposobu. Poczęto również spostrzegać, że fakty, będące przedmiotem rozmaitych gałęzi wiedzy, nie są bynajmniej odosobnionymi i niezależnymi od siebie grupami zjawisk, lecz że wszystkie są dziś ze sobą ustosunkowane, oraz że, społem wzięte, uzmysławiać mogą dzieje wydarzeń wszechświata. Tak więc, w czasie, kiedy Darwin rozpoczynał pamiętną swą podróż naokoło ziemi, ludzie w taki lub inny sposób poczęli zdobywać już niejasne pojęcie ewolucji, jako porządnego następstwa przeobrażeń przyrody — w którym przeobrażenie dane wypływa z poprzedzającego za sprawą przyczyn podobnych przyczynom, dzisiaj działającym, a tem samem mogących podlegać określonemu naukowemu badaniu i tłumaczeniu.

Nastąpił wreszcie czas, kiedy już fakty życia ustrojowego (organicznego) mogły również wejść do zakresu tego ogólnego pojęcia. Dopóki przypuszczano, że każdy okres geologiczny oddzielony był od swego bezpośredniego poprzednika i następcy jakimś przewrotem tytanicznym, rewolucjonizującym oblicze ziemi, dopóty ludzie spokojnie mogli przypuszczać, że przewroty owe spowodowały całkowitą a nagłą zagładę życia ustrojowego, oraz że formy zaginione wynagradzało również nagłe i całkowite stwarzanie nowych postaci na początku każdego z okresów. Ale kiedy przestano wierzyć w przewroty — tłumaczenie takie poczęło wydawać się bardzo nieprawdopodobnym, zaś całkowicie utraciło ono powagę dzięki faktowi, że wiele rodzajów roślin i zwierząt przetrwało bez zmiany lub prawie bez zmiany poprzez kilka okresów kolejnych, a to obok innych rodzajów podlegających znacznym przeobrażeniom albo zagładzie. Zauważono dalej, że pomiędzy formami okresów kolejnych, danej miejscowości zachodziło widoczne pokrewieństwo rodzinne, wskazujące, że formy późniejsze związane były z dawniejszymi zwykłym węzłem fizycznego pochodzenia. Mnóstwo faktów z zakresu morfologii i embryologii porównawczej potwierdziło później ten wniosek, a w ten sposób, kiedy po dwudziestu blisko latach opracowywania K. Darwin był już gotów rzucić pierwsze nasiono swojej znakomitej teorii, znalazł grunt bardzo starannie uprawiony i użyźniony. Jedno, czego oczekiwali jeszcze wówczas ludzie, to wykrycia *vera causa*. Potrzeba już było tylko wskazać jakiś czynnik jeden, podobny do działających dzisiaj, a więc zrozumiały, któryby mógł tłumaczyć nam gatunkowe zmiany zwierząt i roślin. Rozwiązanie tego zagadnienia przez Darwina zostało przyjętem tak powszechnie i tak się zmieszało z ogólnym prądem myśli naszych czasów, wydaje się dzisiaj tak naturalnym i niemiłym, iż grozić nam może niebezpieczeństwo zapomnienia o tem, że zadanie owo było jednym z najbardziej zawiłych i trudnych, jakie kiedykolwiek ujmowała myśl uczona. Wychodząc z pospolitego doświadczenia hodowców zwierząt domowych, oraz uprawnych roślin i, rozważwszy należyte wybitne a niekiedy zadziwiające zmiany, wywoływane dzięki prostej sprawie doboru — Darwin miał przed sobą zadanie następujące: wykryć wśród różnorodnych zjawisk przyrody ustrojowej jakiś czynnik, zdolny dokonywać tego, czego człowiek dokonywa przy pomocy doboru. Odkrywając czynnik *doboru naturalnego*, działającego wiekowiec przez zachowywanie pewnych jednostek i ras szczęśliwszych w walce o byt, Darwin znalazł właśnie ową *vera causa*, jakiej ludzie oczekiwali. Z niezmierną cierpliwością i oględnością stosował on swój sposób tłumaczenia zjawisk ustrojowych do grup coraz to innych, spotykając w rozmaitych dziedzinach życia nowe i częstokroć niespodziewane potwierdzenia swojej teorii. Miał on to zadowolenie, iż za jego życia jeszcze prawie wszyscy

zoologowie, botanicy i paleontologowie zdążyli utworzonym przezeń szlakiem badania, zgadzając się z nim, nadto, co do jego zasady podstawowej. Ogólnie godzono się na dobór naturalny jako na czynnik, mogący spowodowywać zmiany, gatunkowe, gdy tymczasem dalsze spekulacje we wszystkich naukach i badania dążyły do ścisłego określenia charakteru owych działań oraz do oznaczenia granic ich skuteczności.

Sam Darwin nie przypuszczał nigdy, że wszystkie zjawiska świata ustrojowego dadzą się wytłómaczyć działaniem naturalnego doboru, nigdy nie przypuszczał on, że wszystkie trudności usunęła już praca jego własna, albo że usunąć je będzie mogła zbiorowa praca całego naszego świata w ciągu jednego pokolenia. Pokolenie obecne było właśnie świadkiem usiłowań, mających na celu zacieśnienie prawdopodobnych granic skuteczności doboru naturalnego, po czem ukazała się też odpowiednia dążność do ich rozszerzenia, dążność, której sprzymierzeńcem łączno mogłaby być nowa książka Wallace'a, wykazująca jak wielką bywa w stanie zwykłym różnorodność zmian w granicach jednego gatunku. Takie wahania pomniejsze danej teorii zdarzają się we wszystkich dziedzinach badania, ale nikt nie wątpi o ogólnej zasadności teorii Darwina, co zaś do nauki o poszczególnych aktach stworzenia, to wrócimy do niej zapewne nie wczesniej, aż nastąpi powrót do kamiennych pociągów, albo do pierwotnych wózków aryjskich.

Zauważono już wielokrotnie, że kiedy nowe jakieś odkrycie naukowe ogłoszonym zostanie światu — ludzie naprzód drwią sobie z niego, jako z rzeczy śmiesznej albo też gorszą się jako z bezbożności; później jednak, gdy już niepodobna lekceważyć jego dłużej, znajdują nagle, że wszyscy wiedzieli już o niem oddawna. Zachowanie się takie jest prawdopodobnie wynikiem zbytniego uwzględnienia konsekwencji, oraz następstwem niemożności wyobrażenia sobie tego, że zakres myśli ludzkich rozszerza się i powinien się rozszerzać wraz z postępem wiedzy. W umysłach ogółu panuje wielkie pogmatwanie pojęć co do pochodzenia i dziejów doktryny ewolucyjnej; dzieje się zaś tak dla tego, że, jak to już możemy powiedzieć, samo pojęcie ewolucji rozwijało się stopniowo. Jest to kres, ku któremu od czasów Newtona zdążył główny prąd myśli naukowej, lecz który jasno i w zupełności uznano dopiero za dni naszych. Co do udziału Darwina w wyniku ogólnym — to można oznaczyć go dokładnie. Nauka naturalnego doboru, nazwanego później przez Spencera „Ostawaniem się najdatniejszych“, stanowi zasługę Darwina i Wallace'a, tak samo jak rachunek różniczkowy był zdobyczą jednocześnie Newtona i Leibniza. Jednakże zagadnienie rozwiązane zostało naprzód przez Darwina, a potem o dwanaście lat później przez Wallace'a, nie wiedzącego zupełnie o tem, czego dokonał był Darwin. „Darwinizm“ jest to doktryna, utrzymująca, że liczne różnorakie postacie życia roślinnego i zwierzęcego mają wspólnego przodka, oraz określające i opisujące dobór naturalny, jako główny czynnik, który spowodowywa zmiany. Znamiennym rysem darwinizmu, stanowiącym o wartości jego i wielkości działania doboru naturalnego. Pod tym względem nikt nie ubiegł Darwina.

Ale, co innego jest doktryna naturalnego doboru, zaś całkiem co innego doktryna ewolucji. Ta ostatnia ogarnia przestrzeń daleko większą, ze znaczną zaś częścią owych obszarów nauka Darwina nie ma nic albo prawie nic do czynienia. Niejasne pojęcia ewolucji unosiły się już jak gdyby w powietrzu na długi czas przed Darwinem. Powiadają nam czasem, że Emerson, mówiąc o robaku wznoszącym się poprzez rozmaite sfery, był już zwiastunem Darwina. Ale twierdzenia takie są bałamutne. Wiele pisarzy aż do dni naszych mogli byli wypowiadać mniemanie, że najwyższe postacie życia rozwinęły się z niższych, ale wszystko to nie miałooby wielkiej wagi pod względem naukowym, dopóki ktoś nie wykazał, w jaki sposób odbywały się owe przeobrażenia. Wiary w rozwijanie się wyższych ustrojów z niższych żywiło kilku wybitnych ludzi nauki przez znaczną część stulecia, poprzedzającego odkrycie Darwina. Jest to przekonanie dość stanowczo narzucające się umyśłem pewnego filozoficznego zakroju, z chwilą gdy poczęto klasyfikować rośliny i zwierzęta na podstawach naukowych. Wszak nie darmo tablica klasyfikacyjna, ogarniająca klasy, rzędy, rodziny, rodzaje i gatunki podobną jest do genealogicznego drzewa. Rychło po ukazaniu się pism Lineusza

poczęli się zjawiać wyznawcy pewnego rodzaju, fantastycznych niekiedy, teorii rozwojowych. Paleontologija dostarczyła tutaj napomknien dalszych. Kiedy Cuvier zespolił ją z systematyką zoologiczną i dokonał wielkiej swojej klasyfikacji zwierząt w przestrzeni i w czasie, to tem samem utorował był drogę teorii ewolucyjnej, jakkolwiek zawsze opierał się podobnemu z prac swych wywodowi.

Budował on lepiej, niż wiedział. Pewną ogólną wiarę w rozwój — w przeciwstawieniu do poszczególnych aktów stworzenia — żywił w Anglii znakomity dziad Darwina, w Francji Lamarek i Geoffroy Saint Hilaire, zaś Oken i Goethe w Niemczech. W wieku bieżącym wyraził także przekonanie w druku Herbert Spencer w r. 1852, zanim Darwin ogłosił był cokolwiek w tym przedmiocie.

„BEZ DOGMATU”.

Luźne notatki.

II.

Dramat, odbywający się w duszy Płoszowskiego na gruncie miłości dla kobiety, jest czemś tak subtelnym i z tak imponującym artystem w wszystkich swoich stadyjach skreślonym, że umysł mimowoli cofa się przed analizowaniem go, jakby obawiając się, czy środki, którymi rozporządza, nie są zagrubem do tego narzędziem, czy analiza ta nie będzie rozbieraniem bardzo złożonego mechanizmu na części za pomocą siekiery. Trudno jednak nie zadać sobie pytania: dlaczego to nosi tytuł „Bez dogmatu“? Czyż brak wszelkich dogmatów w umyśle Płoszowskiego jest przyczyną działającą w całej tej tragedii? Trudno zrozumieć, dlaczego wiara w prawdy religijne albo społeczne miała uchronić nienormalny system uczuciowy i chorobliwą wolę od tego wszystkiego, co się stało udziałem bohatera „Bez dogmatu“ w stosunku do Aniarki. Ze ta „bezdogmatowość“ harmonizuje zupełnie z innymi właściwościami psychicznymi Płoszowskiego, czynnymi w tym dramacie, to rzecz inna, ale zdaje się, iż napewno powiedzieć można, że nie jest ona niezbędną ich towarzyszką. Dlatego też, zajmując pokaźne miejsce w ogólnej charakterystyce i ustępach, odbiegających od głównego przedmiotu, w akcyi samej nie występuje ona właściwie. Z tem wszystkim widocznem jest, że autor przywiązuje dość wiele wagi do tej cechy i stara się istnienie jej na swój sposób uzasadnić.

Jak sceptycyzm tłumaczy Płoszowskiego z jego bezczynności, pomimo wielkich zdolności i wysokiego ukształcenia umysłowego, tak inoawrót, wysoki rozwój umysłowy i zdolności krytyczne uzasadniają poczęcie rozwinięcia się tego sceptycyzmu. Jakże się przedstawia ów wysoki rozwój umysłowy, pozwalający temu „geniuszowi bez teki“ pobłażliwie traktować wszystko prawie, co jest produktem myślenia otaczających go ludzi? Jakże się przedstawia te zdolności krytyczne, przed którymi, nie ostać się nie może? Posłuchajmy, co on mówi n. p. do Stawowskiego: „..... gdybym ja, jako chrześcianin, troszczył się o słabych, bezbronych, uciśnionych — toby było śluszne: mnie Chrystus tak kazał; ale pan, ze stanowiska walki o byt, powinienbyś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych, to tych — to jest kapitalne prawo natury — więc pal ich licho!“ Kiedy w ten sposób rozumuje filozof salonowy od bawienia dam, to rozumiem, ale w ustach człowieka z umysłem krytycznym podobne głupstwa są niemożliwe. Boć przecie człowiek „który dużo obserwuje i dość łatwo wyprowadza wnioski“, powinien sobie wykombinować, że ginący w walce tylko wtedy musi być uznany za słabszego, jeżeli z równą bronią do walki występuje. I niedość, że powiedział głupstwo, ale jest jeszcze przekonany, że użył argumentu niezbitego, bo za chwilę powiada w przedpokoju przeciwnikowi: „odgaduję mniej więcej, co mi pan możesz powiedzieć, zatem pozwól pan sobie życzyć dobrej nocy.“

Ta sama powierzchowność przebiega i się w jego napół świadomych przewidywaniach jakiejś fali, która spłynie z powierzchni ziemi cywilizowaną część społeczeństwa. Przypomina on wtedy pannę Izabellę z „Lalki“ z jej naiwnymi myślami o tytanach-robotnikach. Powiada on o sobie, że „stara się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska“, bo ma umysł syntetyczny. Uogólnienia jego jednak są najczęściej paradoksalnie płytkie, — dość wspo-

mnieć chociażby o tym podziale społeczeństwa na „wyroby serwskie“ i „surową glinę“, po za któremi nic więcej nie widzi. „Zjednej strony, — powiada, — wykwit, albo może i przekwit kultury. z drugiej absolutne barbarzyństwo i ciemnota“. Faktem jest że u nas klasy społeczne dzieli przepaść, wobec której wszelkie porozumienie, wszelkie zgodne działanie jest zupełnie niemożliwe...“ Co to jest? czyż gdzieindziej ta przepaść jest tak dalece mniejsza? czyż niema żyjących i rozwijających się społeczeństw, w których jest ona znacznie większa?

Zabawnie też usprawiedliwia się z tego, że chodzi na mszę. Można zrozumieć jeszcze, że sceptyk, który powiedział sobie: „nie wiem“, nie ma odwagi odciągać innych od kościoła, albo że sam do niego chodzi ze względów obywatelskich (które dla Płoszowskiego nie istnieją), ale chodzenie na mszę dlatego, że się „nie wie“, bez żadnych ubocznych pobudek, jest niezrozumiałe. Zrozumiał jest tu jeden tylko powód, mianowicie, że „ludzie jego sfery“ to robią.

Trudno wyliczać wszystkie te powierzchowne zdania, rozrzucone hojnie po całym pamiętniku. Taki np. traktat o miłości, jako dźwigni życia, gdzie się powiada, że ostatecznym i jedynym celem zabiegów Bismarka jest to, „by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei“, choć z równą słusnością możnaby było powiedzieć, że jedynym celem jego zabiegów jest to, żeby Herman spał spokojnie, wypiszy dziesięć kufli piwa, a Dorotea jadła schab z kartoflami

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Płoszowski poglądów swoich nie wypowiadał z tą nadmierną pewnością siebie, którą się odznaczają zwykle ludzie ograniczeni i która przypomina, że ten człowiek, będący „sceptykiem względem własnego sceptycyzmu“, nie jest sceptykiem względem swych płytkich teorii społecznych i filozoficznych.

Nie wynika ztąd jednak, żeby Płoszowski był człowiekiem nieinteligentnym, przeciwnie, objawia on bystry, spostrzegawczy umysł, który widzi i rozumie wiele, ale tylko w rzeczach, dotyczących własnego „ja“, albo stosunków osobistych. Robi on na sobie i na ludziach ze swego otoczenia samodzielne a subtelne wielce spostrzeżenia, rozumie siebie i innych doskonale, wskutek czego panuje nad swoim otoczeniem. Jest to więc inteligencja uspecjalizowana w kierunku spostrzeżeń psychologicznych i wskutek tego wyrobiona w tym względzie więcej od innych, przy specjalizacji bowiem otrzymuje się przewagę w pewnym kierunku, kosztem innych.

Rzeczy bardziej oddalone, nie drażniące bezpośrednio jego zakończeń nerwowych, są dla niego prawie niedostępne i dają mu tylko materiał do mniej lub więcej dowcipnych, często bardzo dowcipnych, ale zawsze powierzchownych uogólnień. Można śmiało powiedzieć, że trudno byłoby pomiędzy ludźmi, równymi wykształceniem Płoszowskiemu, znaleźć podobnie płytkiego filozofa i podobnie naiwnego socjologa. Dziwna rzecz, jak ten człowiek, tak cierpliwy przy rozplątywaniu najdrobniejszych nitczek, z których splata się jego dusza, — w wypadkach, kiedy ma do czynienia z zagadnieniami ogólnymi, rozcina węzły gordyjskie za jednym zamachem. Dla tego też, kiedy procesy myślowe i czuciowe, rozwijające się w duszy jego na tle stosunku do Anielki, przejmują nas swą tragicznością, dramat myśli na podkładzie ogólniejszym zakrawa na komedię, a czasami na łamańce błazeńskie. Autor też, jakby obawiając się, że jego bohater może nie być doceniony z postępów i wypowiedanych myśli, każe mu ciągle mówić o swoich zdolnościach, o „luku i strzałach“, które posiada, o schodach, po których trzeba wchodzić do jego duszy, — „przyczem można kark skręcić!“ Przypomina to trochę owych pierwotnych aktorów ze „Snu noey letniej“, którzy informują widza: „to jest Pyram, a to Tysbe, to mur, a to księżyc“, ażeby ten się nie omylił i nie wziął księżyc za Pyrama, a muru za Tysbe. Pozornie określenia te są na miejscu w ustach człowieka, który ciągle siebie analizuje, jako wpływające z nieustannej krytyki samego siebie, — w istocie jednak tak nie jest, bo tacy auto-analitycy rozbierają swoje pojedyncze stany psychiczne, a jeżeli pozwalają sobie na uogólnienia, to czynią to za pomocą sumowania tych pojedynczych stanów, o ile one należą do jednej kategorii, dla scharakteryzowania panującego w duszy nastroju. Takie nadto ozdabianie siebie epitetami, niewiadomo jaką drogą zdobytymi, jest pierwsze niesmaczne i nie licuje całkiem z wysoką estetycznością Płoszowskiego, podługie dziwnie brzmi w ustach tego sceptyka, który wie, że

wszystko jest „djabło mało warte“, a nie zdobywa się na sceptycyzm względem wartości tychże epitetów.

Chcę powiedzieć, że jak sceptycyzm, tak zdolności krytyczne Płoszowskiego są podejrzane, bo, gdy pierwszy o pewne kategorie pojęć nie zaczepia, krytyka jego obchodzi się z wielu rzeczami, jak młot z zegarkiem. Chcę powiedzieć, że jeżeli rozbija on całkowicie wszelkie swoje życiowe podstawy, to nie dlatego, że ma lepsze od innych narzędzia, że ma większe zdolności krytyczne, że jest wyższej miary sceptykiem, ale dlatego, że to, co zostało rozbite, było łatwiejsze, niż u innych, do rozbicia. Ażeby to uzasadnić, postarajmy się zrozumieć rozwój tej duszy w zależności od warunków życia, co nam też pomoże do rozwiązania kwestyi: czy Płoszowski, wzięty w całości, jest typem tak powszechnym, jak to naokoło słyszeć się daje.

Płoszowski, zarówno jak i ojciec jego, ze sposobu życia i stosunków towarzyskich należą do tego odłamu arystokracji, który ze względu na warunki życiowe przyrodnymi do cieplarni z egzotycznymi roślinami. Podstawami, na których opiera się ich sposób życia, są: uprzywilejowane stanowisko w społeczeństwie, dzięki któremu ludzie ci nie potrzebują myśleć o zdobywaniu środków do istnienia i używania; wstręt do dzisiejszych sposobów powiększania kapitału, opierający się w części na poczuciu tego, że im więcej nad to, co mają, nie potrzeba; wreszcie zamknięcie się w granicach swojej sfery i unikanie stosunków z ludźmi, należącymi do innych warstw społecznych, oparte na mniej lub więcej świadomem poczuciu wyższości swej krwi czy też swej kultury.

Według odwiecznego prawa natury każdy człowiek, zarówno jak i każde zwierzę, dla zdobycia środków, służących do podtrzymywania życia i w dalszym ciągu jego uprzyjemniania, musi wykonywać pewną sumę czynności celowych. Sfera ludzi do których należy Płoszowski, wyłamuje się poniekąd z pod tego prawa ogólnego dzięki pewnemu ukształtowaniu się stosunków społecznych. Takie wyłamanie się z pod prawa natury musi pociągnąć za sobą zmiany w organizacji człowieka. Im ważniejszy jest dla mnie cel, do którego dążę, tym więcej się na nim skupia moja świadomość, tym mniej więc podatna się staje na przyjmowanie wrażeń z zewnątrz. Im więcej zatem człowiek wykonywa czynności celowych, im ważniejsze są dla niego te cele, do których dąży, tym częściej przechodzi stany psychiczne, w których wrażenia, otrzymywane przez zmysły, nie przechodzą do świadomości, albo, jeżeli do niej przechodzą, nie mogą jej nadługo opanować.

Płoszowscy przez dwa przynajmniej pokolenia z rzędu nie mieli doosiągnięcia celów, od których by egzystencja ich zależała, a więc celów najważniejszych dla człowieka, i wskutek tego wspomniane wyżej stany psychiczne były o wiele rzadszem zjawiskiem w ich duszy, niż to ma miejsce u innych ludzi. Wskutek tego przez wprawę świadomości ich nabierała co raz większej zdolności do przyjmowania wrażeń z zewnątrz i poddawania się towarzyszącym im uczuciom. Im dłużej zaś panuje pewne uczucie w mojej świadomości i im prostsze jest ono, tym łatwiej mi je zanalizować, im częściej zaś zdarza się taka sposobność analizowania swych uczuć, tym więcej się kształci moja świadomość w danym kierunku. To wszystko jasne. Dalej im świadomość jest podatniejsza na wpływy zewnętrzne, tym bardziej zmienna jest wola, tym trudniej nam utrzymać się przy jednym postanowieniu, gdyż wpływom tym zawdzięczamy pośrednio pojawianie się nowych aktów woli, paralizujących poprzednią zdolność do czynu. Wskutek tego człowiek żyjący w tych warunkach, co ojciec i syn Płoszowscy, powoli zmienia się w aparat do otrzymywania wrażeń z zewnątrz i natychmiastowego na nie reagowania. Dołączony do tego wspomnianą wyżej zdolność analizowania, mamy szkielet duszy Płoszowskiego.

Dalej przez stopniową wprawę zachodzi zmiana moralna. Człowiek, którego nie nie zmusza do wykonywania ważniejszych czynów bez względu na przeszkody i na przykre wrażenia, wykonywaniu ich towarzyszące, powoli zatracą zdolność do czynu, gdyż z czasem przestaje panować nad swoją wrażliwością, która go obojętnia. Wskutek tego także obcą mu staje się kategoria przyjemności, doznawanych po osiągnięciu celu, pomimo przeszkód i przykrości. A to są przecie czynniki postępowania moralnego, chociażby z punktu widzenia moralności względem samych siebie.

Żyjąc w zamkniętej sferze arystokratycznej i nie stykając się bezpośrednio z całą resztą świata, Płoszowski może ją znać tylko powierzchownie. Nie może on nigdy postawić się w położeniu człowieka ze zwykłego świata, wejrzeć w jego myśli, odczuć jego radości i cierpienia, dlatego że przywykł widzieć to wszystko wyrażane w innej zupełnie formie, w tej samej mianowicie, w której on swoje uczucia i myśli wyraża.

Widząc, na przykład, wieśniaczkę, lamentującą po stracie syna, nie tylko nie zdobywa się dla niej na współczucie, ale nawet patrzy na nią bez najmniejszej przykrości — z zimną krwią robi sobie na niej ciekawe i humorystyczne spostrzeżenia. Dlaczego? dlatego, że, co najwyżej, żyje tylko cierpieniami i radościami swojej sfery.

Dla niego cały świat, znajdujący się poza ścianami tej cieplarni, w której sam wegetuje, jest obcym. On nie rozumie tego, że w tamtym świecie ludzie muszą mieć mniej czułe zakończenia nerwowe dla tej prostej przyczyny, że potrzeba czynu, w jakiegokolwiek bądź jego formie, nie pozwala im nieustannie pędzić życia płyty fotograficznej. Ztąd poczucie swojej wyższości nad tymi „gruboskórnymi“, usprawiedliwione zupełnie nawet bez obecności dumy ze swej krwi szlachetnej. On nie może czuć się częścią świata ludzkiego, tego z poza ścian cieplarni, gdyż toby mu ubliżyło, jako istocie wyższej, która z uboższymi obserwuje ten świat, patrząc nań, jak na świat małpi, papuzi i t. d.

Możnaby być pewnym, że gdyby się spotkał z największym poniżeniem godności ludzkiej w jakim „zwyčajnym człowieku“, patrzyłby na to obojętnie, nie czułby się sam obrażonym, nie opanowałoby go to zwykle oburzenie, które w normalnych warunkach zjawia się w najbardziej wyzutym z wszelkich „dogmatów“ człowieku z równą siłą, jak w innych

Znajdując się w warunkach, w których nie potrzebuje korzystać z bezpośrednich usług innych, nie znajduje się nigdy w tem położeniu, w którym człowiek czuwa wdzięczność dla jakiejś jednostki, a pojęcia jego sfery nie rozwinęły go w tym kierunku, żeby mu sprawiała cierpienie świadomość tego, iż, otrzymując tyle od społeczeństwa, nie w zamian nie daje. Raz powiada, iż „nie mało jest goryczy w tem wyznaniu“, że nic dla społeczeństwa nie zrobił, ale na tle wszystkiego, co dalej mówi, można być pewnym, że przemówiła tam jedynie miłość własna, że goryczą go napęliło, przyznanie się do tego, iż nie nie znaczy pomiędzy ludźmi.

Bez zaprzeczenia wszystkie te warunki wpływają na wytworzenie pewnej oschłości serca, która musiała się zwiększyć przy niewrozie, wytwarzanej przez same te warunki istnienia, przez „godziły sali“ ze światem i półświatem i t. d.

Podobna egzystencja przez pokolenia urabia człowieka nie tylko pod względem uczuciowym, ale i na umysł wywiera wpływ niepośledni. Pozbawiony realnego podkładu życiowego rozwój umysłowy podlega zubożeniu, idzie w kierunku największej wprawę t. j. analizy swych przyjemności i cierpienia, natomiast zdolności do rozumienia życia, do zdawania sobie sprawy ze zjawisk społecznych podlegają wyjałowieniu. Ta jałowość myśli społecznej jest nie tylko własnością mózgu pojedynczych osobników, ale wisi w powietrzu całej tej cieplarni i udziela się nawet artystom, tem powietrzem oddychającym.

Nawet „estetyczność“ Płoszowskiego, która stanowi największą zaletę jego i tego świata do którego on należy, jest pozbawiona tego podkładu życiowego, na którym wyrasta, poczucie piękna. Żyje on ustalonymi pojęciami piękna, jest „człowiekiem typu helenkiego“, rozumienie piękna u niego opiera się na poczuciu harmonii barw i kształtów, na szerokim wykształceniu estetycznym, ale tym formom, którymi się zachwyca, nie towarzyszy żadna głębsza myśl współczesna, która zawsze przecie te formy tworzyła. Nie jest to estetyka dynamiczna, ale statyczna, polegająca na dobrym smaku, na artystycznym ujęciu tego, co za piękne uznane zostało.

Taka organizacja psychiczna, z tym kierunkiem moralnym i umysłowym jest zrozumiała zupełnie na tle swoich stosunków życiowych, mianowicie w cieplarni społecznej. W życiu normalnym, zwykłym, człowiek „bez dogmatu“ musi się przedstawiać trochę inaczej.

R. Skrzyżki.

GŁOSY.

Oszczędny. — Projekt wynagradzania robotników. — Z Brazylii. — Wojak austriacki. — Zadziwiająca płodność.

— (p.) Otrzymujemy list następujący:

„Dawniej dosyć często, ale i teraz niekiedy znaleźć można w *Przeglądzie tygodniowym* piękne frazesy o wyzysku pracowników, o chciwości przedsiębiorców i t. p. Wymownie brzmiały tam skargi na zdradstwo księży, którzy od rodziny zmarłego biedaka wymagali pieniędzy za pogrzeb, albo na nieludzkość obywateli ziemskich, żałujących kilku desek na trumnę dla ubożego parobka. Z okazji 25 letniego jubileuszu uważamy za właściwe fakt ten podnieść i zasługi *Przeglądu* przypomnieć, a zarazem dostarczyć mu materiału do nowej w tym przedmiocie filipiki przeciw skąpcom, pragnącym wydrzeć ostatni grosz biedakom.

W drukarni p. Adama Wiślickiego pracował zecer Aleksander Wylocki, który „po krótkiej a ciężkiej chorobie“ zmarł przed paru dniami. Koledzy zmarłego chcieli wydrukować zawiadomienie o śmierci i pogrzebie, czyli tak zwaną klepsydrę. Zaczęli już więc składać klepsydrę, sądząc, że właściciel drukarni nie pożałuje za kilka groszy farby drukarskiej i kilkudziesięciu skrawków papieru, których wartość również paru groszy nie przerosi. P. Wiślicki jednak zabronił składania i drukowania klepsydry, nie chciał bowiem ponosić tak „znacznego wydatku“ na nieboszczyka, który tylko przez dwa miesiące w drukarni jego pracował. Przez te dwa miesiące na pracy zecera właściciel drukarni zarobił z pewnością kilkadziesiąt rubli na czysto. A może przyczyną zakazu drukowania klepsydry nie była chęć oszczędzenia kilku groszy, albo „zasada“ że nie za darmo, że za wszystko płacić należy. W każdym razie postępek p. Wiślickiego winien być ujawniony, aby żaden listek z wieńca zasługi „czcigodnego“ jubilata nie przepadł dla współczesnych i dla potomnych.“

* * *

— (x) *Birżewyja wiadomości* podają szczegóły o znajdującym się się w Radzie państwa projekcie wynagrodzenia robotników za kaletwa, odniesione przy pracy:

Kwestyją tą zajmowały się dwie komisje: hr. Ignatijewa i hr. Wałujewa i każda z nich sporządziła odpowiedni projekt przepisów. Różnią się w szczegółach, obiedwie komisje przyjęły jedną wspólną zasadę, a mianowicie, że koszty wynagrodzenia robotników w razie nieszczęśliwych wypadków ponoszą nie tylko właściciele fabryk, zakładów przemysłowych i t. p., lecz i przedsiębiorcy bez względu na to, czy pierwszymi lub drugim będzie rząd, towarzystwa akcyjne lub osoby prywatne. Do tego zasadniczego punktu wyjścia rada handlu i rękodzieł dodała, iż wynagrodzenie przyznane być winno, jeżeli wypadek nieszczęśliwy wydarzył się: a) skutkiem niedokładności użytych do pracy maszyn i narzędzi, skutkiem zepsucia się ich, eksplozji i wogóle innych przyczyn, wpływających z urzędnictwa mechanizmów i samej produkcji; b) z powodu niedbalstwa oficyjalistów, którym powierzony jest dozór, skutkiem wydania rozporządzeń, rezultatem których był wypadek lub w razie zezwolenia na prowadzenie roboty w warunkach, wzbronionych odpowiednimi przepisami; c) w gałęziach przemysłu szczególnie szkodliwych dla zdrowia, lub wywołujących niebezpieczne choroby odpowiedzialność spada na właścicieli przedsiębiorstw w tych wypadkach, kiedy można dowiedzieć, że choroba powstała bezpośrednio skutkiem zajęcia się szkodliwą produkcją i że można jej było zapobiedz przez zastosowanie odpowiednich środków sanitarnych. Takimi są główne zasady przepisów, traktujących o odpowiedzialności właścicieli fabryk i zakładów przemysłowych w razie nieszczęśliwego wypadku w fabryce, skoro ofiarą wypadku stali się robotnicy. Dotychczas wszystkie instytucje rządowe, które miały w swych rękach wzmiankowane projekty, zgodziły się przede wszystkim na punkt jeden, a mianowicie, aby ciężar dowodzenia (*onus probandi*) spadał nie na pozywającego, lecz na pozwanych.

* * *

(p) Z listu p. Antoniego Hempla w *Kuryjerze warszawskim* dowiadujemy się, że w Rio-Janeiro przebywa obecnie 3,000, a jak niektórzy z miejscowych twierdzą, nawet 5,000 wychodźców polskich:

W miejscach najbardziej niezdrowych, a więc w samym mieście najwięcej pracuje rzemieślników, jako to: krawców, stolarzy, ślusarzy ect., gdyż tam

znajduje się najwięcej warsztatów rzemieślniczych. Ludzie niefachowi, jak włościanie, pracują przy robotach ziemnych i murarskich na przedmieściach.

W tym roku w mieście i na przedmieściach jednako grasowała febra straszna, w kwietniu i maju szczególnie i mocno przerzedziła szeregi emigrantów. Pomimo ciągle trwającej w większych lub mniejszych rozmiarach żółtej febrzy w Rio, polacy z prowincji wciąż napływają do miasta, gdyż na prowincyi, jak to wszyscy jednogłośnie utrzymują, zostać się stanowczo nie mogą dla braku zasobów, niskiej płacy, nie wystarczającej na życie i niemożności pracowania przy ciężkich robotach, do których nie są przyzwyczajeni. przy strasznym przytem skwarze słońca. Do Rio więc dążą wszyscy ci, co mogą się wydostać z plantacji i mają jaki taki grosz na drogę do stolicy“.

Wszyscy prawie wychodzący myślą o powrocie do kraju. Rzemieślnicy czasem zarabiają nie źle, ale wszyscy skarżą się na klimat, p. Hempel przytacza cyfry zarobków w różnych zawodach:

„Wogóle trzeba pamiętać, że opisani powyżej przetrzymali pierwszy ogień na gruncie brazylijskim—są to ci szczęśliwcy, co się dostali do Rio. Zarobki w mieście mają bardzo dobre rzemieślnicy, o ile są wydoskonaleni w rzemiośle i chociaż trochę władają językiem portugalskim. Dobry szewc, krawiec, malarz, stolarz, kowal może zarobić od 3—6 milów. Naturalnie, że ceny produktów spożywczych są wysokie (kilo mięsa 0,5 milr). Wszyscy jednakże czują tu nad sobą jakby zawieszony miecz Damoklesa—są jakby na posterunku wojennym; każdy drży na samą myśl, że dostanie żółtej febrzy; szpitala boją się okropnie, gdyż ztamtąd nikt prawie nie wychodzi; wielu pomimo to—szczególniej z tych, co mają większe zarobki—do czasu wstrzymują swój wyjazd, chcąc zarobić i bez grosza nie wracać do domu. Niektórzy zarobiwszy, zaraz wyjeżdżają, inni, śmielsi wstrzymują się, odkładając wyjazd do nastania lata, t. j. do naszej jesieni i zimy.

Najwięcej też zniechęcającą rzeczą jest dla rzemieślników jedzenie tutejsze, na które się skarżą. Niektórzy, zwłaszcza mniej zarabiający, stołują się wspólnie, nie w restauracjach, lecz u siebie w domu: wielu jednak jada w restauracjach tutejszych, które bardzo się różnią pod każdym względem od naszych.

* * *

— (zgr.) W ubiegłym roku w *Kuryjerze Warszawskim* znaleźliśmy, powodu procesu, wytoczonego nierządnicy Bompard i jej kochankowi Eyrardowi, za zaduszenie przygodnego wielbiela pierwszej—arcyceiekawą korespondencyję z Paryża, której autorka wylała własną żółć na kobiety francuskie, takimi oto zdaniem:

„Kobiety francuskie—po większej części są to wuyzdane rozpustnice.“

„Gdy spotkam rano, na bulwarach jaką z nich młodą i ładnie ubraną, mam ochotę zapytać jej: kogoś zamordowała i okradła tej nocy?“

Poszukaliśmy podpisu i, znalazłszy u spodu korespondencyi: *Gabryela Śnieżko-Zapolska*, ruszyliśmy ramionami—oceniecie bowiem hysterycznych elukubracji byłoby zmarnowaną robotą.

Następnie mały syn wielkiego poety, w kiepskiej nad wyraz polszczyźnie znęcał się w całym szeregu korespondencyj kuryjerkowych nad Francją i francuzami, dając dowód nietylko płytkości pojęć ale i pewnego zaniku władz umysłowych. Później jeszcze jakiś „facet“ z Włoch przepowiadał, zawsze w temże piśmie, upadek i rozbiór Francji.

Dziś znowu w tymże kuryjerze p. Włodzimierz Zagórski, znany ongi galicyjski humorysta (Chochlik), podjął się wydrwienia nietylko kobiet, instytucji, ale całego narodu francuzkiego.

P. Z. zakasał rękawy i zapewne w objęciach Gambrynusa spłodził rozprawkę p. t. *Francuzki Babel fezyklowy*, biorąc za punkt wyjścia i podstawę swej pracy... zgadnijcie, co, czytelnicy. Może jednego z akademików, bolejących nad zanikiem francuzczyzny, mogą kogoś z grona uczonych, których na setki ów kraj liczył... Nie, bynajmniej—humorysta „ode Lwowa“ w krytycznym swym rozbiore posługuje się jakimś Alfredem Delvanem i jego niewielką książką, szumnie zatytułowaną: *Dictionnaire de la langue verte*.

P. Zagórski, chociaż, o ile nas pamięć niezwoździ, służywał tylko w austriackiej piechocie, posiada nagle wierchowca i pędzi głosić zatracenie Francji! A lubi mówić... *nawiasami*:

„Nawiasem mówiąc—powiada—język francuzki niejest tym wykwintnym i salonowym językiem, za

który go poczytujemy; rubaszny duch galicki, który przewodniczył jego tworzeniu, wycisnął pieczęć swą na jego obliczu“...

I my jesteśmy tego zdania, dodamy tylko: szczególnie dla tych, którzy nim władają z galicyjska, gdzie salopa nazywa się „saloppe“, a ukraiński futer, nawnie „fouteur“ i dla tych, którzy, prócz marszów piechotę do zbuntowanej ongi przeciw austriakom Lombardyi, ograniczyli swe podróże do Warszawy i kilku wycieczek do Częstochowy, Rokitna, Gidel i z powrotem

Dalej, p. Zagórski, znajduje, że niewątpliwie Francya chyli się do upadku, że trudno wierzyć, aby Francuzi zachowali nadal w świecie cywilizowanym swe przodujące stanowisko. I dla czego to, pytamy? Bo pierwszorzedni pisarze przyswajają językowi t. zw. *gwarę*.

„Nie, wykrzykuje p. W. Z. stanowczo patrzmy obecnie na koniec dawnej Francji; znaczenie do jakiego doszła tam „gwarą“ jest niewątpliwym znamieniem... upadku.“

Sam p. W. Z. przyznaje, mimochodem, że „argotyzmy“, jako pierwiastek dodatni, wnoszą do języka pisarzy, którzy zwrotów swych używają, siłę, szczerłość, a często nawet malowniczość. — Ale, już o pięć wierszy dalej zapomina o tem i zarzuca francuzom, że używają wyrazu *clamer* (wołać), choć jest to wyrażenie ludowe, a rzeczownik *clameur* (krzyk, wrzawa i t. p.) znajduje się w słowniku Instytutu francuzkiego, jeszcze w wydaniu z roku 1835, gdzie znajdujemy przykład, który zalecamy p. W. Z. do rozmyślenia: *braver les clameurs des sots*. Dziwi się dalej, że franenzi używają wyrazu *dindon* (indyk na oznaczenie głupca). My mówimy o takich: *osiół* i nikt się temu nie dziwi. Sęp (*vautour*) i u nas jest synonimem zbója i cheiwea, a *korniszon* i u nas oznacza starego niedołęgę, choćby ten wracał z bohaterskich wypraw austriacków „dla uśmierzenia“ Lombardyi i Wenecyi.

Zapomniał p. W. Z. dwóch rzeczy: że każdy język ma swoje prowincjonalizmy i naleciałości, które bynajmniej nie psują jego harmonii—że „gwarą“ w pewnych artykułach dzienników *Petit Journal i Echo de Paris, Figara, Voltaire'a Gil Blasa, Journal Amusant i la Vie parisienne*, odpowiada wybornie „gwarze“ naszych kuryjerków naszych *Świątecznych, Much, Kolców* i t. p., że nareszcie wyrazi jak „wylać się ścieć, wstawić, wsunąć w nawias“ i odwrotnie, „puścić w trąbę, kantem, zasypać się“ i tysiące innych, które i p. W. Z. szpikuje utwory swej muzy i prozy, weale nie wróżyć nam upadku—a dziś używają ich czasem ludzie zkad inąd nawet wykształceni.

Gdyby p. W. Z. znał Francję i Francuzów nie z okienek pociągu kolejowego i bulwarowych piwiarń, szyneczków z koniakiem i „gros bleu“ po 12 sous litr—byłby wiedział, że Paryż, po za rządem, izbami, zakładami i instytucjami naukowymi, najmnie przedstawia pola do studyjów nad językiem.

* * *

— (p.) Od kilku tygodni pisana codziennie potwarzają jedno za drugim niedorzeczną wiadomość o Argentynie, gdzie jakoby na jedną kobietę wypada 60 mężczyzn. Oto wiadomość ta w najświeższej redakcyi *Kuryjera Codziennego*:

Niewiasty, którym losy nie dały zaznać słodyczy domowego ogniska, znajdują je z łatwością.. w Argeaty- Njawienie się jakiegokolwiek przedstawicieli niewieściego rodu sprawia tam wrażenie niełychane. Najwybredniejsza może sobie znaleźć męża, notabene wybierając, jak między ulgawkami. l'omiędzy konkurentami rozwija się szalone współzawodnictwo, a zwyczajca uważany jest przez ogół żonkosiów niemal a-bobatera. Gazety miejscowe wypełniają całe szpalty przebiegiem i rezultatami takich zabiegów. Dodać należy, iż powierzchowność damy ma tu znaczenie bardzo względne. Charakterystyczne jest, iż konkury nie trwają dłużej nad. . trzy dni.

Panowie z kuryjerków dowcipnie wydrwiwają chłopów, którzy plotą brednie o Brazylii, sami jednak wykazują bodaj większą jeszcze łatwowierność i nieuctwo. Argentyna liczy około 4,000,000 ludności, według więc stosunku, podanego w *Kuryjerze*, powinno tam być zaledwie 65,000 kobiet, tymczasem w 1889 r. urodziło się w tym kraju 157,000 dzieci. Każda więc kobieta w Argentynie, jeżeli odliczymy pewien procent na małe dziewczynki i zgrzybiałe staruszki, *rodzi 3 dzieci rocznie!* Zaiste, zadziwiająca płodność, chociaż nie może rywalizować z płodnością kuryjerków w tworzeniu głupstw.

Dodamy, że według danych statystycznych już w r. 1869, było w Argentynie w 15 prowincjach 844,000 kobiet, na ogólną liczbę 1,737,000 mieszkańców. W wielu prowincjach, jak Corrientes, Cordova, San Luis, San Juan, Rioja, Catamarca więcej jest nawet kobiet, aniżeli mężczyzn.

Z OBCEGO ŚWIATA.

Kłęska nieurodzaju.

Dawno już nie zaznała Europa takiej kłęski, jaka spada na nią w roku bieżącym. Od wiosny już wiadomem było, że urodzaje będą na ogół nędzne, przed paru miesiącami rozmiary kłęski zarysowały się wyraźniej i jednocześnie dla ludzi dalej widzących stało się oczywiste, iż przedsięwzięć należy energiczne środki ratunku. W tym to czasie we Francji niżono znacznie cła zbożowe, wprowadzone przed kilku laty dla ochrony „rolnictwa narodowego“.

W Niemczech agitacja w tym samym kierunku rozbiła się o stanowczy opór rządu. Generał Caprivi zapewniał w parlamencie, że urodzaje będą wcale niezłe, że zapasy są obfite, że głód jest tylko zmyśleniem ludzi złej woli, że wywóz żyta z Rosji nie napotka żadnych trudności i t. d. A jednak, jak się okazuje obecnie, wówczas już kupcy ruscy, zawierając umowy o dostawę żyta, robili zastrzeżenia na wypadek spodziewanego przez nich zakazu. W każdym razie jednak dopiero w tych dniach kłęska okazała się w całej swej grozie. Międzynarodowy targ zbożowy w Wiedniu i węgierskie ministerjum handlu ogłosiły jednocześnie urzędowe cyfry o stanie tegorocznych zbiorów. Przyjrzyjmy się wypływającym z nich wnioskom.

Cała Europa zachodnia w normalnych nawet latach nie wytwarza dostatecznej ilości zboża dla wyżywienia swej ludności. Brak ten wypełnia przywóz z Europy wschodniej t. j. Rosji, Austrii, Węgier, Turcji, Serbii, Bułgarii i Rumunii, oraz z Ameryki, Indji, Egiptu i Australii. W roku bieżącym w całej niemal Europie zachodniej urodzaje były mniejsze od przeciętnych. I tak Anglija, stojąc względnie dobrze, potrzebować będzie, wedle obliczeń, nie mniej zboża niż zwykle. We Francji urodzaje wypadły fatalnie, a że, jednocześnie przestrzeń zasiewów zmniejszyła się z 7,107,594 hektarów do 5 mil. hektarów, niedobór więc wyniesie ogromną sumę trzydziestu kilku milionów hektolitrow, gdy tymczasem zwykle zapotrzebowanie Francji równa się 13, a w latach pomyślnych nawet 9 tylko milionom. W Niemczech urodzaje również są gorsze, niż w roku zeszłym. Według sprawozdań konsulów austriackich w roku bieżącym ludność Niemiec potrzebowałaby o 10% większego przywozu pszenicy i o 30% większego przywozu żyta, niż w roku zeszłym. Z żyta będą musieli Niemcy zrezygnować, bo wobec zakazu wywozu jego z Rosji, która w warunkach normalnych dostarcza na rynek wszechświatowy 88% ogólnej ilości żyta, nie można nawet marzyć o otrzymaniu dostatecznej jego ilości. Dziś już armija niemiecka żywi się chlebem pszennym (w połowicznej przytem ilości, jeżeli można wierzyć zapewnieniom korespondenta *Nowego Wremienia*) i za jej przykładem zmuszona będzie pójść cała ludność, jeżeli *nota bene* środki jej na to pozwolą.

We Włoszech zapotrzebowanie powinno być również większe, niż zwykle, wobec jednak, mówiąc stylem handlowym, „skąpej siły nabywecej ludności włoskiej“ może i nie będzie. Z państw drobniejszych opłakane zbiory ma Belgija, bo zaledwie 26% normalnego zbioru pszenicy i 49% żyta, natomiast Danija, Szwecyja i Szwajcaryja mają urodzaje przeciętne, lub nawet nieco wyższe. Co jednak najokropniejsze, że w roku bieżącym do rządu państw, potrzebujących dowozu zboża, zaliczyć należy Austriję i Turcyję, państwa, które dotąd zasilają inne kraje. Pierwsza z nich potrzebować będzie 11,4 mil. hektolitrow, druga 2,4.

Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na pozostałe kraje eksportujące, to tu znowu okaże się wcale nieświatny stan rzeczy. I tak w Rosji urodzaj pszenicy wynosi zaledwie 70%, żyta zaś nawet tylko 40% urodzajów normalnych. Wobec tego sądzićby można, że zboża z trudnością wystarczy na przeżywanie ludności, pomimo to obliczają, że wywóz wyniesie 12—16 milionów hektolitrow. Węgry i Rumunija dotknięte zostały nieurodzajem żyta, o-

graniczyć się więc będą musiały przeważnie do pszenicy. Wywóz z Egiptu, Algieru i Tunisu będzie również znacznie mniejszy, niż zwykle. Płony Australii w znacznej części zostały już przez Europę spożyte. Co się tyczy Indji, to urodzaj w nich jest mniejszy od normalnego i potęguje się jeszcze niedoborem ryżu. Gdyby potrzeby ludności miejscowej wpływać mogły na kierunek handlu, z Indji eksportu nie byłoby wcale. Na szczęście dla Europy tak nie jest i zbiór tegoroczny został już w części na rynkach europejskich sprzedany. Bardzo świetnym jest urodzaj pszenicy w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, a że przytem przestrzeń zasiewów wzrosła o 9%, yankesi więc w roku bieżącym dostarczą przeszło połowy całej ilości pszenicy, jaka prawdopodobnie okaże się na rynku wszechświatowym.

Cała groza położenia okaże się jednak wówczas, gdy obliczymy zapotrzebowanie i zestawimy go z możliwym zaofiarowaniem. Przekonamy się wówczas, że kraje importowe potrzebują 150 milionów hektolitrow pszenicy, dostać zaś mogą zaledwie 114 m. hk. Niedobór więc wyniesie 36 mil. hektolitrow, a jeżeli doliczyć wywóz z Rosji i Indji, który nastąpi ze szkodą ludności miejscowej, to rzecz można, że na całym świecie niedobór wyniesie nawet 54 mil. hektolitrow.

Jeszcze gorzej przedstawia się zbiór żyta. W roku bieżącym będzie go na całym świecie o jakie 100—110 milionów hektolitrow mniej, niż zwykle. Jeżeli dodamy do tego, że kartofle nie dopisały również, to zachodzi istotnie pytanie, czym przeżywi się ludzkość w roku bieżącym. Ale mówiąc ludzkość, używamy wyrażenia nieodpowiedniego. Nie tylko bogactwo tego świata, ale nawet my z tobą, czytelniku, nie zjemy ani kawałka chleba mniej, niż zwykle, cały więc ciężar niedoboru spadnie na warstwy, których życie i w zwykłych warunkach jest jednym pasmem cierpienia i niedoli. Co one poczną i czy ludzie, znajdujący się w lepszym położeniu, pomyślą o ich losie?

Odpowie nam na to najlepiej Berlin. Zgodne świadectwa korespondentów, wreszcie cyfry urzędowe świadczą o panującej tam obecnie nędzy i ogólnej drożyznie, do której przyczyniają się wielce wysokie cła wwozowe i rozmaite niby to sanitarne obostrzenia. Jeżeli weźmiemy np. dane o cenie chleba, to przekonamy się, iż 5 funtowy bochenek chleba żytniego, który w r. 1887 kosztował 51,8 fenigów, w r. z. 67, fen., obecnie sprzedaje się po 80, fen., innemi słowy chleb droższy jest obecnie o 54%, niż przed 4 laty i o 17%, niż w roku zeszłym.

Uciążliwość tak wysokich cen nie podlega kwestyi, sfery jednak „miarodajne“ nie chcą przystać na żadne proponowane przeciw tej drożyzni środki ¹⁾. Ludność domaga się np. zawieszenia, lub chociażby obniżenia cła zbożowego. Rząd jednak opiera się i to z najbliższego powodu. Teraz właśnie toczą się układy handlowe z sąsiednimi państwami i rząd niemiecki chce użyć obniżenia cła od zboża, jako środka wytargownia ustępstw dla swego przemysłu. Argument ten z odpowiednimi komentarzami powtarzają dzienniki do znudzenia, nie zwracając wcale uwagi na to, że *czasowe* obniżenie cła w warunkach dzisiejszych, gdy zapasów zboża braknie na całym świecie, wcale a wcale nie zmniejszy uroku, jakie dla Węgier np. posiadać będzie *stałe* jego obniżenie. Stronictwo „ziemiańskie“ na obronę cła przytacza inne jeszcze dowody. Utrzymuje ono mianowicie, że cło nie o całą swą sumę podnosi cenę chleba; to jest, że część cła płacą nie niemieccy spożywcy, ale ruscy czy amerykańscy wytwórcy zboża i że zniesienie cła obniży cenę chleba nie o 20%, jakby się spodziewać można, ale tylko o 10%. Przypuśćmy, że to wszystko prawda, jakkolwiek jest to rzeczą bardzo wątpliwą, zwłaszcza w roku bieżącym, w każdym razie dla niezamożnego berlińczyka płacić za chleb 70 fenigów zamiast 80 byłoby wielką ulgą, pozwalając sobie przytem wątpić, iżby przyjemność, jakąby mu to sprawiło, zmniejszyła się na myśl, iż to obniżenie ceny najpotrzebniejszego produktu przyniosło korzyść jeszcze komu innemu.

W berlińskiej radzie miejskiej demokratyczni radni wystąpili również z projektem ulżenia nędzy ludności. Żądali oni mianowicie: rozpoczęcia robót miejskich na większą skalę, bezpłatnego rozdzielania żywności, gdzie się tego okaże potrzeba, urzą-

¹⁾ W imię bezstronności notujemy, że w ostatnich czasach dozwolono przywozu nierogacizny z państwa ruskiego i wieprzowiny z Ameryki.

dzenia na zimę lokali ogrzewanych z bezpłatnym wydawaniem ciepłej kawy, herbaty, lub mleka, udzielania gorącego posiłku w szkołach. Wszystko to są rzeczy, praktykowane nieraz w Europie, to też żądania te nie wywarły wielkiego wrażenia. Inaczej się rzecz miała z innym żądaniem, polegającym na zakupie przez zarząd miasta przedmiotów żywności i materyjałów palowych w wielkiej ilości i cząstkowej rozprzedaży ich po cenie kupna. Projekt podobny wydał się czemś nadzwyczajnym; niemal że zbrodniczem i ostatecznie całkowicie odrzucony został. A jednak cóż w tem wszystkim zdrożnego. Żywność kosztuje obecnie berlińczyków zbyt drogo, nie mogą oni pozwalać sobie na zbytek utrzymywania nadmiernej ilości pośredników handlowych i przez oszczędność chcą przy pośrednictwie naturalnego swego przedstawiciela, magistratu, sami zająć się zakupem żywności i opału z pierwszej ręki. Wszak to tak proste i zrozumiałe. A jednak przedstawiciele klas rządzących odrzucili projekt prawie z oburzeniem. Dodajmy, że coś podobnego praktykuje się gdzieindziej, nie wprowadzając nikogo ani w zadumienie, ani tymbardziej w przerażenie. Mam tu na myśli np. ziemstwa ruskie, które zakupują obecnie w wielkich ilościach zboże nawet nie dla rozprzedaży, lecz dla rozpożyczenia takowego chłopom.

Głód tegoroczny nasuwa w ogóle nie wesołe myśli, świadczy on bowiem krzycząco o nienormalności stosunków europejskich. Zapewne, susze i deszcze nie zależą od woli ludzkiej, ale już biblijny Józef umiał się tak urządzić, że nawet 7 lat nieurodzaju nie stanowiły dla Egiptu kłęski, nie groziły mu głodem. Józef, będąc wielkorządcą państwa, nie powierzał sprawy przeżywania ludności „wolnej grze interesów osobistych“. Europa postąpiła inaczej i doczekała się pięknych rzeczy.

J. H. Siemieniecki.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu.“) Z świeżo opublikowanego sprawozdania z działalności piotrkowskiego oddziału banku włościańskiego za rok 1890, dowiadujemy się, iż od dnia 20 kwietnia r. 1890, w którym nastąpiło urzędowe otwarcie oddziału, po dzień 1 stycznia r. b. przedstawiono 22 deklaracje, z których trzy cofnięto przed ich przedstawieniem Radzie Banku dla zatwierdzenia. W pozostałych 19 deklaracjach 670 włościan zamierzało nabyć 7024 morgi 220 prętów ziemi za ogólną sumę 347,934 rs. 24 kop., na co żądało pożyczek w ilości 58,906 rs. na lat 2 1/2 i rs. 205,640 na lat 3 1/2; pozostała suma 83,298 rs. 24 kop. nabywcy obowiązują się zaptacić sami. Z wymienionych tranzakcyj do dnia 1 stycznia r. b. przedstawiono Radzie Banku—12, Rada zaś, zatwierdziwszy siedem, udzieliła 94,651 rs. zamiast żądanych pożyczek w sumie 104,915 rs. Z powyższych siedmiu tranzakcyj w trzech wydano już 34,600 rs. pożyczek—podczas gdy w pozostałych 4 na przeszkodzie stanęło niezatwierdzenie niektórych formalności prawnych. Piotrkowski oddział banku włościańskiego, obejmujący gubernie: Piotrkowską, Kaliską i Kielecką, oficjalnie został otworzony w d. 20 kwietnia 1890 r., aczkolwiek już z początkiem r. 1889 personel banku znajdował się na miejscu, gdzie powierzono mu załatwienie tych manipulacyj. W początkach czerwca tegoż roku, na mocy zezwolenia ministerjum skarbu, poleceno oddziałom banku włościańskiego przyjmować podania z wydawaniem pożyczek i inne dokumenty oraz udawać się na miejsca, przeznaczone do parcelacji w celu otaksowania ziemi nabywanej przez włościan; wszystko to w tym celu, aby z dniem otworzenia instytucyi wszystkie manipulacje przedwstępne były ukończone i oddział banku mógł niezwłocznie zająć się rozpatrzeniem spraw i przedstawieniem ich Radzie Banku włościańskiego. Rozporządzenie powyższe wywołane było opóźnieniem zatwierdzenia przepisów działalności Banku włościańskiego i jego oddziałów w guberniach Królestwa polskiego, wskutek czego oddziały te nie mogły być oficjalnie otwarte. Z tych przyczyn kilka podań i deklaracyj wpłynęło do oddziału piotrkowskiego jeszcze przed jego otwarciem i w tych sprawach, które zaopatrzone były we wszystkie wymagane dokumenty, dokonano oględzin i otaksowania gruntów na sprzedaż wystawionych. Spraw takich było trzy, reprezentowanych przez trzy spółki (dwie powiatu będzińskiego i jedna częstochowskiego) i 125 włościan. — W myśl projektu rządowego, w mieście naszym z początkiem przyszłego roku szkolnego mają być otworzone dwa pensjonaty szkolne przy gimnazyjum

i wyższej szkole rzemieślniczej łódzkiej, na co zebrano już fundusze odpowiednie. — Nowy gmach gimnazjalny, wybudowany kosztem rodziny Scheiblerów, ma być otworzony i oddany do użytku odnośnego w końcu pierwszej połowy b. m. Na uroczyste otwarcie i poświęcenia spodziewają się przyjazdu p. ministra oświaty. W auli gimnazjalnej ma być umieszczone popiersie Karola Scheiblera, oferte którego w ilości 100,000 rubli nowy gmach wyłącznie swe istnienie zawdzięcza. W uzupełnieniu wzmianki, podanej w przeszłej korespondencji, o działalności łódzkiej straży ochotniczej, naznaczyć wypadła pewien ważny szczegół, rzucający właściwe światło na obojętność ludności fabrycznej względem instytucji tak doniosłego znaczenia dla Łodzi. Wśród ludności robotniczej, wyrobiło się dość rozpowszechnione mniemanie, iż fabrykanci tutejsi niechętnem oka patrzą na należenie robotnika do łódzkiej straży ochotniczej, zniewalające go niejednokrotnie do porzucania w dzień roboty i pospieszania natychmiast na miejsce pożaru. Robotnik taki niechętnie bywa tolerowany i przy ład sposobności usuwany z fabryki. Sprawdzić faktów tego rodzaju nie można, czcigodnym chlebowodawcom bowiem na wykretach nie zbywa i powód innej zupełnej natury łatwo znaleźć można. Ze jednak rozpowszechnienie się wśród ludności robotniczej podobnego mniemania nie może, być bezpodstawnem o tem nadmieniacz zbyt czarna. Jeszcze słów kilka o projektach prasowych. Projektowane przez jednego z potentatów łódzkich założenie drugiego pisma polskiego, nie dojdzie do skutku, a to z powodu, iż władze odnośne udzielenia koncesyi stanowczo odmówiły.

Izar.

— **Włocławek.** Korespondent *Gazety Warszawskiej* pisze. Dawniej u nas, przy rozpoczęciu roku szkolnego, miasto roiło się od rumianych twarzyczek, iłedwie połowa zgłaszających się do tutejszej szkoły realnej odjeżdżała do domu przyjęta. Dzisiaj pozostaje jeszcze *sto siedem miejsc* wolnych, a mianowicie: w klasie VI na 24-ch uczniów, w kl. V na 30-u, IV na 20-u, III na 18-u, i we wstępnej na 15-u. Zważywszy, iż zniesiona prywatna szkoła realna p. Kownackiego liczyła przeszło dwustu uczniów, przyjęć można, że liczba kształcącej się we Włocławku młodzieży zmniejszyła się *przeszło o 50%*. Czy chęć kształcenia się zmniejszyła w naszym społeczeństwie, czy upadek materyjalny, czy też inne przyczyny złożyły się na to trudno przewidzieć; konstatuje tylko sam fakt. — Emigracja żydowska u nas nie ustaje. Codziennie widzied można na rynku żydów, sprzedających swe domowe utensylia, a parowce, idące do Torunia, codzien są napełnione wychodźcami. Zamożniejsi wyjeżdżają drogą żelazną. Zauki miasta, w których przemieszkuje przeważnie uboższy starozakonni, powoli się wyludniają. — Złoty deszcz, jaki spadł w tutejszej okolicy w końcu z. m., wskutek ożywionego handlu żytem, ożywił także i przemysł tutejszy. Szczególniej znalazły tutaj zbyt narzędzia i maszyny rolnicze, na które w ostatnich latach słaby był popyt. — W majątkach ziemskich okazało się także pewne ożywienie i położone w tutejszej okolicy majątki, kupione przez towarzystwo kredytowe, znalazły chętnych nabywców.

— **Z Powiatu Janowskiego** donoszą: „Wysokie ceny zboża oddziaływają pod wieloma względami korzystnie: ruch pieniężny ożywia się, włościanie krzątają się około nabycia ziemi, przy pomocy pożyczki banku włościańskiego; o emigracji do Ameryki nikt już nie myśli. Wogóle z powiatu tutejszego zaledwie kilku próżniaków próbowało emigracji do Brazylii, lecz i ci powrócili do swych wiosek po bezskutecznej wycieczce do Galicyi, gdzie spodziewali się zasiłków na podróż za ocean i gdzie spotkał ich zawód kompletny. Za to żydkowie po miasteczkach radzą i domają nad przyszłością. Widzą to jasno, że dalej takiego jak dotąd próżniactwa i wyzyskującego inne stany pracujące żywota pędzić nie będą mogli; do żadnej pracy wzięć się nie chcą; ztąd nędra straszna rozszerza się wśród proletaryjatu małomiasteczkowego. Panująca obecnie drożyzna chleba po prostu śmiercią głodową zagraża tym ludziom. O emigracji do Argentyny nikt naprawdę nie myśli, bo czują żydzi, iż nie są zdolni do kolonizacji pustych, stepowych obszarów bez pomocy chłopca polskiego, któregooby można związać z sobą za parobka. Wszyscy żydzi czują, iż przyszłość jakaś groźna zagłada im w oczy. Ztąd niepewność w interesach, wycyfywanie kapitałów z obieg i spotęgowane do niebywałych jeszcze nigdy rozmiarów wyzyskiwanie włościan. Dotąd przeważnie kwitnęła lichwa w pożyczkach, ukrytych pod formą długoletniej dzierżawy osady włościańskiej. Jest w Krańniku żyd, który ma akty regentalne na dzierżawę przeszło stu osad włościańskich. Włościanie dłużnicy siedzą na gruntach i pracują w pocie czoła na opłatę lichwiarskiego procentu od wypożyczonej sumy, który zwykle wynosi 4% na miesiąc. W razie nieakuratności, grozi im eksmisya na rzecz żyda. Obecny Ukaz Najwyższy, zabraniający dzierżawienia przez żydów osad włościańskich, doprowadza tego kapitalistę do rozpacz, lecz jest on tak pomysłowym, że niewątpliwie coś nowego obmyślić potrafi, aby dalej eksploatować włościan, z których znacznego dorobił się majątku.“

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu.“) Gorączka wywozu żyta już minęła. Niejeden kupiec, zamiast spodziewanych zysków, stratę poniósł; między obywatelami podobne wypadki jeszcze częściej się zdarzają. Najlepiej podobno wyszli ci, którzy, chociaż żyto wcześniej zwięźli i mieli go sporo wymłóconego, jednak nie dali się porwać gorączce, zachowując zapasy ziarna w kraju, w przypuszczeniu, że dobre ziarno zawsze w swoim czasie dobry zysk przyniesie. — Miasto nasze, świecące dotąd wakacyjnymi pustkami, zaczyna ożywiać się nieco już to z racyi ukończenia sezonu letniego, już to z powodu wystawy, otwarcie której odbędzie się, jak to już wam donoszono, w Niedzielę 13 Września. Zapowiada się ona nieco ciekawiej, niż przed dwoma laty, zwłaszcza, że drobny przemysł zajmować będzie osobny pawilon. — Profesor górniczego instytutu, p. Wojśław, o którego działalności nadmieniałem już wam w jednym zęgwych listów, ukończył badania wodnych źródeł naszego miasta; dowiadujemy się, że sprawozdanie jego zawiera bardzo pomyślne wiadomości. Jeżeli miasto zechce wyłożyć pewien kapitał, same tylko t zw. Węgierskie źródła będą dawały najlepszego gatunku wody $\frac{1}{3}$ miliona wiader rocznie. — Magistrat nasz wciąż wynajduje nowe w mieście roboty. Po splantowaniu Św. Jerskiego prospektu, zaczęto budować most na Wilejce, koło b. cytadeli. Obecnie bawi u nas w celu obejrzenia miejscowości, inżynier z Petersburga p. Bielelubskij, który ma stać na czele komisji. budującej most na Wilii. — Na Wielkiej ulicy, między Szklaną i Sawicz oraz koło cerkwi Św. Mikołaja, postawiono latarnie, dające dużo światła, w rodzaju latarń, Simensa i oświetlane gazem. — Na wyborach do zarządu rzemieślniczego prezesem został obrany rękawicznik Straus. — Na zakończenie muszą dodać, iż w okręgu naukowym powstał projekt założenia u nas szkoły agronomicznej. Przewodniczący odnośnej komisji jest kurator okręgu naukowego p. Siemiejewskij. Na jednym z pierwszych posiedzeń zarządu miejskiego, ma być podjęta sprawa tej szkoły. *J. S.*

Petersburg. Pomimo gólrzędowej zapowiedzi, że wywóz pszenicy zakazowi nie ulegnie, pisma rosyjskie nie przestają zajmować się tą sprawą. Większość wypowiada zdanie, że w ciągu 2 tygodni przed zakazem wywieziono takie masy żyta, iż pozostałej ilości nie wystarczy na potrzeby miejscowe. Wobec tego zajęć może potrzeba zastąpienia żyta pszenicą, a nawet owsem. Wiele pism przychodzi do tego przekonania, że należałoby przynajmniej zaprowadzić cło wywozowe od pszenicy dla zmniejszenia eksportu — Urzędownie znowu zainteresowano się kwestyją zakazu wywozu chleba pieczonego z miejscowości pogranicznych. — Ceny zboża obecnie nieco spadły, powszechnie jednak daje się zauważyć fakt powstrzymywania się zamożniejszych posiadaczy od sprzedaży istniejących zapasów. Administracja miejscowa przedsięwzięcie rozmaite środki. Tak np. gubernator wiacki zabronił zakupiom skupować zboże. W Jełabudze zabroniono sprzedawać mąkę drożej nad 105 kop. za pud, po tej zaś cenie spożywcy mogą nabywać w składach ziemstwa. — Synod rozkazał odprawiać specjalne nabożeństwa, zbierać ofiary po cerkwiach na rzecz głodnych, oraz zachęcać bogate monasteria do składania ofiar. — Dla jadących na zarobki z gubernij, zagrożonych głodem, ceny biletów III klasy zniżono o 75% i uwolniono je od opłaty na rzecz rządu. — W bankach okazał się ogromny brak gotówki, wszystkie bowiem pieniądze zostały wycofane, procent od rachunku bieżącego podniósł się z 3 $\frac{1}{2}$ % na 6. Wskutek tego po raz drugi wypuszczono w obieg pieniądze papierowych na 25,000,000 rs., ze złożeniem takiej samej ilości złota w banku. — Jarmark niżnienowgorodzki w tym roku był bar 1zo niepomyślny. — Przedstawiciel odeskiego komitetu palestyńskiego p. Tiomkin wrócił z Palestyny, przywołując wiadomości niepomyślne. Znaleźli się kapitaliści, którzy skupili masę ziemi dla celów spekulacji i dla tego t-ż ubożsi emigranci nie mogą nabywać gruntów. — Zmarł tu znany działacz, profesor akademii duchownej Kojalowicz, autor dzieł o unii i jej zniesieniu.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu.“) Niedaleki termin zwolania sejmiku galicyjskiego nasuwa już dziś prasie krajowej wnioski co do skąpego czasu obrad naszych, a co zatem idzie przypomina zawodowym „politykom“ iż wiele, bardzo wiele postulatów domaga się gruntowniejszego omówienia i możliwie przedkiego urzędowania. Pomijając już tak znane kwestyje, jak regulacja rzek, decentralizacja kolei (tym ważniejsza, iż kolej Karola Ludwika przechodzi z nowym rokiem na rzecz skarbu) zwrócono obecnie baczną uwagę na rażące braki obowiązującej od lat 25 ustawy gminnej. W kraju całym rozbrzmiewa hasło reformy, a z góry i z dołu sypią się projekty, niby z rogu

obfitości. Na tem miejscu chciałbym dziś kilka słów powiedzieć o rozrzuconej po Galicyi „odezwie włościjańskiej“, która właśnie domaga się reorganizacji ustawodawstwa gminnego. Odezwa oświadcza się przeciw projektowi tworzenia gmin okręgowych, gdyż przez to: a) powiększyłyby się wydatki gminne, b) wprowadzonoby nową machinę biurokratyczną, c) ograniczoną zostałyby władza gminy i wójta. W dalszym ciągu zawiera odezwa punkty tak charakterystyczne pod względem społecznym i politycznym, tak daleko odbiegające od miary, jaką dotąd przykładano do pojęć naszych włościan, że wszelkie komentarze wydają się zbyteczne. Oto te punkty: I. Samodzielna gmina, wtedy tylko istnieć może, gdy liczyć będzie domów 100. Łączenie gmin małych w jedną byłoby bardzo korzystne, bo gminy małe nie są w stanie się utrzymać. II. Zniesienie oddzielnych obszarów dworskich. Wszyscy jesteśmy równi, więc i ciężary winny być równe. III. Wszyscy właściciele posiadłości w gminie wybierać powinni tajnie, większością głosów, 12 radnych gminy. IV. Rada gminna wybiera sąd gminny, który ma obowiązek załatwiać wszelkie spory ustnie. V. Każda rada gminna wybiera jednego członka do rady powiatowej. VI. Wszystkie rady gminne w powiecie powinny razem tajnie wybierać jednego posła na sejm i do rady państwa. VII. 100 gmin może stanowić powiat. Rada powiatowa powinna wybierać naczelnika powiatu, którego zatwierdza wydział krajowy. VIII. Naczelnik ma być doradcą gminnym i kontrolerem majątku gmin, a nie biurokratą. IX. 10 gmin winny mieć doktora krajowego. X. Każdy powiat powinien utworzyć osobny fundusz assekuracyjny. XI. Karczmy, jako źródło zarazy, należy usunąć z gmin, natomiast zakładać sklepiki chrześcijańskie. W dalszym ciągu następują określenia stosunku do rządu, księdza itd. Odezwa ta, w ogólnych zaledwie przedstawiona zarysach, spotkała się u nas z ostrą krytyką nawet liberalnych dzienników. — Bezpośrednio niemal po uchwaleniu przez ostatni zjazd lekarzy wniosku p. Karłowicza o stadyjach uniwersyteckich dla kobiet w Krakowie — odbył się w Stryju, wiec kobiet ruskich pod przewodnictwem p. N. Kobryńskiej; na wiecu tym uchwalono wysłać petycję do rady państwa w sprawie dopuszczenia kobiet galicyjskich na wykłady uniwersytetów krajowych i utworzenia choćby jednego gimnazjum żeńskiego, następnie przyjęto w zasadzie projekt p. Kobryńskiej o zakładach wsiach ochronek dla dzieci i tanich kuchni dla robotników, wreszcie postanowiono wydawać kalendarz dla kobiet ruskich. Oto, zawiązki ruchu emancypacyjnego wśród kobiet galicyjskich. — Po zmowie dorozkarczy krakowskich, którzy pozbawili nas wehikulów przez jeden dzień, dla zmanifestowania swego niezadowolnienia z nowej taryfy jazdy po za rogatki miejskie — wszystko wróciło do dawnego porządku. — Tradycyjny komitet pomnika Mickiewicza przyjął trzecią figurę Rygiera oraz plany sytuacyjne pomnika, wykonane przez architekta Ekielskiego, prof. Rygier zaś udał się do Rzymu dla odlania figury poety w bronzie. Budowa fundamentów pomnika ma się wkrótce rozpocząć. Faktem jest dotąd tylko, że na rynku głównym ogrodzono duży plac w formie ośmiokąta, ale robót dokoła pomnika nie widać; komitet jednak w najlepszej wierze zapewnienia, iż „prace rażno postępują i że pomnik stanie wcześniej, niż pierwotnie przypuszczano“ (sic.) — Prędko, co prawda, buduje p. Zawiejski nowy teatr na placu św. Ducha, szkoda jeno, iż do robót używa materyjałów i ludzi z zagranicy. — W ostatnim tygodniu przyniósł dziennik urzędowy wiadomości o zatwierdzeniu nominacji: d-ra Władysława Natansona na docenta fizyki matematycznej przy uniwersytecie krakowskim i d-ra W. Korytowskiego, b. radcy ministerstwa skarbu na prezydenta dyrekcji skarbu we Lwowie. Mówią również o powołaniu d-ra Jana Pawlikowskiego na katedrę ekonomii społecznej w dublańskiej szkole rolniczej. — Wczoraj ukończył swe obrady V zjazd notaryjuszów austrijskich. Omawiano ważną sprawę reorganizacji notaryjatu i uposażenia kandydatów notaryjalnych. Następnego zjazdu odbędzie się w Gracu. — Dziś przybył do Krakowa minister sprawiedliwości hr. Schönborn. — W Sułkiewiczach otwarto wystawę 150 obrazów zmarłego malarza St. Szembeka.

Vox.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Okres niewątpliwiej przewagi w życiu politycznym Europy trójprzymierza, albo raczej Niemiec, już się skończył. Dziś obok tej potęgi występuje na widownię potęga druga. Jak się te dwie potęgi zżyją z sobą, czy która z nich nie zechce osiągnąć znowu

przewagi niewątpliwej—oto pytanie, które zadają sobie wszyscy, śledzący przebieg wypadków chwili bieżącej. Dzienniki przepelnione są uwagami w tej kwestyi zarówno własnymi, jak i pochodzącymi od tego lub owego męża stanu, nie stojącego w danej chwili u steru władzy, a zatem mogącego swobodniej wyrazić swe zdanie. Cała prasa europejska powtarza np. opinię o sytuacji obecnej Karola Dilke'a—człowieka wielkich zdolności i zapewne wielkiej jeszcze przyszłości. Zdaniem jego, wojna zależy wyłącznie od woli Cesarza Rosyi. Pokój trwać będzie, dopóki Cesarz tego życzy sobie. Wilhelm II nigdy nie rozpocznie wojny, bo nie może być pewny, czy Austria i Włochy popierać będą Niemcy w walce zaczepnej.

Czy Dilke trafnie sądzi położenie, czy istotnie młody, trawiony gorączką czynu cesarz niemiecki zechce się ograniczyć do wyczekiwania, przesądzać nie mogą. W każdym razie zaznaczyć muszę, że od czasu zbliżenia się francuzko-ruskiego, widoczny niepokój ogarnia Niemców. Sytuację obecną uważają oni za bardzo poważną i zdają się przeczuwać, że jedynie za pomocą oręża zachować będą mogli swe dzisiejsze stanowisko.

Pesymizm niemiecki jak dotąd nie ma właściwie żadnej realnej podstawy, jakkolwiek na Wschodzie rzeczy zaczynają przybierać inny obrót, niż dotąd. Ogromną sensacją wywołała w całej Europie, zwłaszcza zaś w Anglii wiadomość o traktacie, zawartym między Rosyją a Turcyją co do przepływu przez Dardanele. Początkowe wieści przedstawiały sprawę bardzo groźnie, obecnie rzecz przedstawia się niewinnie, jakkolwiek bezwzględnie traktat ma ważne znaczenie dla Rosyi i zawarcie jego jest wskazówką zmiany polityki tureckiej. Chodzi o to, że statkom ruskiej floty ochotniczej, wiozącym na Sachalin aresztantów pod silną eskortą wojskową, pozostającą później na miejscu, Turcyja pozwoliła przepływać przez Dardanele, nie wymagając prawie żadnych formalności. Dozwolonym również zostało odwołanie przez Dardanele żołnierzy, którzy odbyli służbę na wschodnich krańcach państwa ruskiego.

Jednocześnie zupełnie niespodziewanie nastąpiła zmiana ministerjum tureckiego. Na miejsce Kiamila baszy wielkim wezyrem został Dżevad basza. Powszechnie sądzę, że zmiana ta oznacza „czasowy“ (jak się pocieszają dzienniki londyńskie) upadek wpływu angielskiego w Konstantynopolu.

Zaczyna też wpływać na nowo sprawa egipska. Zapewniają, że Rosyja kupiła znaczną ilość akcyj kanału suezkiego w celu uzyskania wpływu na los kanału i wywierania tegoż wpływu na rzecz Francyi. Jak wiadomo lord Beaconsfield w swoim czasie zakupił ogromną ilość akcyj suezkich i w Anglii uznawał na ówczas ten krok za mistrzowski. Jednocześnie donoszą z Konstantynopola, jakoby Francyja usiłowała nakłonić Portę do zrzucenia z tronu egipskiego Tewfika, jako zbyt uległego Anglii.

Wszystkie te wypadki, jak zapewniają dzienniki, były przedmiotem żywych narad dwóch cesarzy, przebywających razem na manewrach armii austriackiej, oraz kanclerzów którzy przesiadywali z sobą po kilka godzin z rządu. Rezultaty obrad były podobno komunikowane niezwłocznie telegrafem królowi Humbertowi.

Taż *Korespondencyja* donosi, że Wilhelm dotąd jest chory. Na manewry udawał się w powozie, konna jazda możliwa jest dlań tylko na bardzo krótki przeciąg czasu, na koń przytem siadać musi przy pomocy drabinki, specjalnie dla niego wożonej.

Po ukończeniu manewrów austriackich udaje się Wilhelm na manewry bawarskie. Bawarczyści są bardzo drażliwi co do swojej autonomii, przyjazd też cesarza niemieckiego na inspekcję armii bawarskiej nie bardzo przypadł im do smaku. Widocznie dla poprawienia ich humoru, Wilhelm II mianował jednego z książąt bawarskich inspektorem korpusu IV, a zatem poddał część armii pruskiej pod komendę księcia bawarskiego.

Jednocześnie z manewrami austriackimi odbywają się wielkie manewry we Francyi, w których bierze udział 100,000 żołnierzy. Zaznaczyć warto, że odbywają się one w pobliżu granicy niemieckiej, czego dawniej Francyja starannie unikała.

We Francyi, w Caeterets urządono posłowi ruskiemu hr. Mohrenheinowi wspaniałą owację, w której oprócz przedstawicieli republiki wziął udział i de Breteuil, powiernik książąt orleańskich i przyjaciel księcia Walii. Z tego powodu *Nord* robi uwagę, że

przyjaźń ruska wpływa dobroczynnie na wewnętrzne stosunki Francyi, jednocząc wszystkie stronnictwa w jedną całość, przejętą tą samą myślą.

W Chili kongresiści ostatecznie ujęli władzę w swoje ręce. Zażartość wzajemna dochodzi do okropnych granic. Zwoleńników Balmacedy oddają zwyciężcy pod sąd wojenny, który załatwia się szybko i energicznie. Oprócz tego zaś rozstrzelano wielu bez żadnego sądu. Valparaiso i Sant Jago w znacznej części zniszczone i spalone zostały przez motłoch. Sam Balmaceda został podobno zamordowany przez przewodnika, któremu się powierzył. Ministrowie jego ukryli się na statki amerykańskie i niemieckie, kongresiści żądają ich wydania.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** W rządzie zmian, jakie mają być wprowadzone do statutów banku włościańskiego ma znaleźć miejsce artykuł, odraczający o lat pięć spłatę pożyczki, zaciągniętej na kupno gruntów. Pięcioletnia ulga liczy się od chwili osiedlenia się nabywcy na gruntach kupionych z pomocą banku. („Now. Wr.“) — Ministerjum skarbu opracowuje projekt nowych przepisów, o patentach na wynalazki i zamierza wszelkie sprawy wywiązujące się na gruncie używania patentów wydawanych na cudze imię, przekazać zwykłym sądom, ale tylko w miastach uniwersyteckich, a to w celu ułatwienia ekspertyzy. Wszelkie nadużycia w tym kierunku będą karane kryminalnie, tak samo jak w sprawach o kradzież cudzej własności; niezależnie od tego powód może żądać bonifikacyi pieniężnej, nie wyższej wszakże nad 5,000 rs. („Grażd.“) — Komitet towarzystwa kredytowego ziemskiego na zgromadzeniu walnem w d. 23 b. m., między innymi wydał dwie bardzo ważne dla stowarzyszonych uchwały, a mianowicie: 1) zniósł opłatę t. zw. grosza administracyjnego, począwszy już od raty grudniowej r. b., i 2) zniżył opłatę 6^o/_o do 5^o/_o od rat, sposobem ulgi w opłacie rozłożonych, podobnie począwszy już od raty grudniowej r. b. — Wobec mającego się wprowadzić niebawem prawa przeciwko lichwie postanowiono zorganizować najbardziej przystępny kredyt tani dla ludności i powierzyć operacyje, o których mowa, kasom oszczędności. („St. Pet. Wied.“) — W ciągu r. 1892 reforma więzień ukończoną będzie w całym państwie tak dobrze w guberniach wewnętrznych, jakoteż i kresowych i wszędzie będzie zorganizowaną specjalną inspekcją więzień. („St. Pet. Wied.“) — Ministerjum skarbu zajęte jest opracowaniem projektu do prawa o nowym uproszczonym systemie poboru akcyzy. („Grażd.“) — Zamierzone powiększenie liczby posad inspektorów podatkowych odłożone zostało do r. 1893, a to z przyczyny złych urodzajów w r. b. („Now. Wr.“) — Z powodu przewidywanej tłumnej emigracyi włościan za zarobkiem z gubernii dotkniętych nieurodzajem zarządzono, jak donoszą dzienniki petersburskie, rozległe środki zapobiegawcze w celu uchronienia poszczególnych miejscowości od zhytniego napływu większych mas.

— **Kronika społeczna.** Ubezpieczenie robotników od nieszczęśliwych wypadków ma być obowiązującym dla wszystkich fabryk i zakładów, mających nie mniej od 10 robotników. Składki ubezpieczeniowe ciążą na właścicielach fabryk i zakładów, którzy wnoszą je do kasy państwowej. Prawo do pobierania emerytury służy każdemu robotnikowi, który z powodu nieszczęśliwego wypadku stał się niezdolnym do dalszej pracy. Wdowy po robotnikach zmarłych od wypadku nieszczęśliwego pobierają 50% płacy zarobkowej, zaś dzieci do dojścia do pełnoletności lub zamężcia 15 i 20% zarobków. Minister skarbu wnosi ten projekt do prawa do Rady państwa w najbliższej przyszłości. („St. Pet. Wied.“) — *Grażdanin* dowiaduje się, iż znów w sferach decydujących postawiona została na porządku dziennym kwestyja żebractwa. Według statystyki urzędowej, liczba żebraków wynosi w obrębie państwa przeszło 300,000 osób. Towarzystw dobroczynności istnieje w państwie 641, a przytułków dla biednych 1,515. — Straż ogniowa ochotnicza w Łodzi liczyła w roku zeszłym 699 członków czynnych, tudzież 1300 honorowych. W roku zeszłym straż była czynną przy 39 pożarach. Dochody straży w roku zeszłym wynosiły ogółem 19,514 rs., wydano zaś 9304 rs. — W r. z. za przesyłkę pism peryjodycznych wpłynęło do kass rządowych 1,013,652 rub. a w r. b. spodziewany dochód z tego źródła w ilości 1,050,000 rubli.

— **Szkoly i oświata.** Opracowane przez radę lekarską przepisy, dotyczące składania egzaminów na dentyków, zostały zatwierdzone przez ministerjum spraw wewnętrznych i brzmią, jak następuje: 1) komisję egzaminacyjną składają dwaj lekarze i dwaj znani dentyści, który ym przewodniczy in-

spektor lekarski; 2) oprócz teoretycznych wiadomości, każdy kandydat obowiązany jest dopełnić w obecności egzaminujących dwóch operacyj dentystrycznych; 3) w razie niezdania pierwszego egzaminu, dozwala się kandydatom próbować drugi raz, lecz nie wcześniej, jak po upływie 6-ciu miesięcy; 4) w razie powtórnego chybienia, kandydat taki pozbawiony jest na zawsze prawa ubiegania się o tytuł dentysty. — Do 351 zakładów naukowych, znajdujących się w gubernii radomskiej, uczęszczało na początku roku bieżącego 15,397 uczących się, w tej liczbie 11,199 chłopców 14,193 dziewcząt. Co do wyznań, liczba uczących się tak się przedstawia: prawosławnych uczęszczało 332, katolików 10,581, luteranów 630 i 3,854 innych wyznań. Porównując liczbę uczących się z liczbą mieszkańców całej gubernii (757 846) wypadnie, iż jeden uczący się przypada na 49 mieszkańców.

— **Literatura i sztuka.** Tygodnik „Życie“ nabył p. Eryk Jachowicz i zamierza wydawać go w dalszym ciągu. — Dziekan wydziału lekarskiego w uniwersytecie genewskim dr. Zygmunt Laskowski wkrótce ma wydać „Atlas anatomii normalnej człowieka“. Rysunki są wykonane przez p. Zygmunta Balickiego. — Warszawianin, p. Ludwik Krukowski, ukończył studia agronomiczne w Heidelbergu, uzyskał stopień doktora, a prócz tego medal złoty i 1,000 marek nagrody za rozprawę p. t. „Najnowsze rezultaty rolnicze z użycia fosforytów“. — Panna Adela Klimontowska opracowała nową mapę poglądową Królestwa Polskiego — Dwaj uczeni etnografowie czescy L. Niederle i Wincenty Zibrz ogłosili projekt na wydawnictwo od początku roku przyszłego kwartalnika p. t.: „Czeski lid“ (Lud czeski) z programem takim, jak „Wisła“ warszawska. Pomędzy współpracownikami wymieniono: L. Kopernickiego, J. Karłowicza, B. Grabowskiego i S. Ciszewskiego. — Niedawno ukazała się broszura małoruska p. t.: „Lystoczki do winka na mohylu Szewczenki“, zawierająca ciekawe a nieznanne szczegóły do życiorysu poety, a między innymi jego listy do Bronisława Zaleskiego. — W Ameryce wychodzi 17,000 czasopism, a między nimi 500 poświęconych wyłącznie sprawom kobiecym.

— **Rozmaitości.** Siostrzenica zamordowanego w Paryżu generała Seliwerstowa wyznańczyła za wykrycie jego zabójcy, Podlewskiego, nagrodę w kwocie rs. 8 tysięcy.

Kronika literacka.

Jak sobie ludzie radzili w biedzie, jak doszli do majątku i jak dobrobyt ogółu podnieśli. Przykład godny uwagi i naśladowania, podał *M. Malinowski*. Wydawnictwo redakcyi „Zorzy“. Warszawa 1891.

W broszurze swojej p. Malinowski opowiada dość szczegółowo dzieje powstania i rozwoju znanej spółki „pionierów roczdalskich“ wskazując ją jako dobry przykład do naśladowania. Rzecz to interesująca i przedstawiona wcale dobrze przez autora. Zrobilibyśmy wszakże małe zastrzeżenie. Wyliczając powody wielkiego powodzenia spółki, autor nie zwraca uwagi na zwyrodnienie pionierów, którzy teraz wyzyskują robotników pracujących w ich fabrykach. Fakt ten zmniejsza wprawdzie sympatyczność pionierów, ale zarazem wyjaśnia ich ogromne bogactwo.

Powieści prawdziwe Ostoi. Warszawa 1892. Nakł. ksiąg. T. Paprockiego i S-ki.

Zmierzając pomówić o tej książce obszerniej, notujemy obecnie, że w skład tego tomu weszły następujące utwory: *Druga żona*, *W gniazdku*, *Wachlarz*, *Widmo*, *Na stacyi*, *Żal*, *Wróg*, *Panna Berta*.

Wiek XIX podług *O. Leixnera* opracował Fr. Rawita (Gawroński). Tom I, zeszyt 6 (ostatni). Nakł. Gebethnera i Wolffa

Jeżus Chrystus J. W. O. *Didona* Z. K. Nakład Gebethnera i Wolffa. Zeszyt XVI.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. Irenie Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że *Nauka o ziemi* Heilperna zadowolniła Panią zupełnie, gdyż zaspokoila wiele dręczących ją pytań. Podobnych podręczników z innych działów wiedzy prawie wcale niema w naszej literaturze. W tem samym wydawnictwie co *Nauka o ziemi* ukazały się poprzednio *Gawędy ekonomiczne*, wydanie zaś wkrótce jeszcze kilka dziełek.

P. Y. T. Lwów. Instytucyji kościelnych zeszyt pierwszy kosztuje z przesyłką kop. 45.